№ 5 WARSZAWA d. 19 (31) Stycznia ROKU 1874.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie, Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

ŻYCZENIE.

Gdybym, jak wróżka w bajce fantastycznej,
Mogła dowolnie zmienić stan i postać,
Jakbym użyła tej władzy mistycznej?
Czembym pragnęła pozostać?!

Może motylem? z barwnemi skrzydłami,
Na wonnych różach, liljach się kołysać,
Roskosznie bujać pomiędzy kwiatami
I miłą słodycz wysysać!

Nie! nie! Jak marnem jest życie motylka!
Bezmyślne, płoche, krótkie, beznamiętne
Istnienie jego—wszak to mała chwilka!
A zmiany niezbyt ponętne!

Więc może gwiazdą, na ciemnym lazurze
Promieniejącą?—Blaskiem pożyczanym!
Nie! nie zazdroszczę tym gwiazdom świetlanym,
Że sobie błyszczą tam w górze!

Wszyscy zbyt tkliwie westchnienia i żale,
Ku księżycowi, gwiazdom przesyłają:
Cnocie lub zbrodni, z musu przyświecają...
O! gwiazdą nie chcę być wcale!

A gdyby różą? lilją? heljotropem?
W gaju gdzie słowik wciąż piosenki nuci,
Kwitnąć pod niebios błękitnawym stropem!
—A jak kto zerwie? i rzuci!

Nie chcę być kwiatem! to zależna dola!
Każdy ma prawo przystąpić do kwiatu,
Chwalić lub deptać, czyja dobra wola,
Korzystać z barw, aromatu!

Nad wszystkie stany—człowiekiem być wolę,
Nie chcę zmian żadnych! w każdej stratę wi-
[dzę—
Umiem ocenić moją ludzką dolę,
A marzeń takich się wstydzę!

Młodość mi daje wdzięk stokroć piękniejszy,
Niż barwnych kwiatów powaby błyszczące!
Poezya – polot swobodny, wznioślejszy,
Niż bieg motylów po łące!

A w duszy, sercu— uczuć, myśli błyski,
Cieplejsze dają dla świata promienie,
Niźli dalekich gwiazd zimne połyski!
—Być sobą! to me życzenie!

Marya Szeliga.

EMANCYPACYA KOBIETY

W STOSUNKU

DO SOCYALIZMU I EKONOMII POLITYCZNEJ.

(Dalszy ciąg.)

Posłuchajmy, co mówi w tym przedmiocie Froebel, autor wielce szacownego traktatu o polityce, i innych dzieł.

„Szczęście w miłości polega, na nierówności i to nie tyle na nierówności fizycznej, o ile na różnicy intelektualnej obudwu płci. Byłoby zbytecznem rozwodzić się nad prawdami tak prostemi, gdyby wiek nasz nie obfitował w fenomena, będące ich zaprzeczeniem. Nierozsądnym kobietom zdaje się, że służą sprawie płci swojej, gdy usiłują znieść, choćby pozornie, różnicę w położeniu mężczyzny i kobiety, gdy tymczasem filozofowie, którzy w propagowaniu dyletantyzmu zasłużyli sobie na ten tytuł, nie wstydzą się przewodniczyć tym szałom kobiecym. (1)

Froebel nie jest jedynym, który posługuje się takiemi argumentami. Roscher i Schaffle, chociaż ekonomiści, używają ich również, dołączając inne. Oto co nam prawi pierwszy: „To, co się dziś zowie emancypacyą kobiet, może tylko doprowadzić do rozwiązania rodziny, a przez to uczynić kobiecie najnieszczęśliwszą przysługę. Niech stanie się bezwzględnie równą mężczyznie, niech jedynie konkurencya stanowi o przewadze płci, to wielce obawiać się należy, czy wkrótce nie popadnie w stan uciemiężenia, w jakim przez długi czas pozostawała u ludów zacofanych."(2)

Schaffle, znany w Niemczech ze swoich idei ultraliberalnych i postępowych, nic nowego nie objawia w tej kwestyi, zgadzając się w zupełności z wymienionemi publicystami.

„Emancypacya kobiety i współzawodnictwo jej z mężczyznami – powiedział on—zamiast ją doprowadzić do prawdziwej równości, spowoduje tylko jej upadek moralny i ekonomiczny. Kobietę utrzymywać musi mężczyzna w czasie jej ciąży, połogu i karmienia dziecka. (3)

Wyjątki te z dzieł ekonomistów nastręczają bardzo ważne uwagi. Tu już nie tylko sama równość, której znaczenie zostało przekręcone, ale cały szereg prawd zasadniczych w ekonomii politycznej uległ przewrotowi, i to w podręczniku, mającym służyć do rozpowszechnienia tej nauki. Wolność i konkurencya, powiadają nam, prowadzą do uciemiężenia i ekonomicznego upadku, i aby się od nich uchronić potrzeba interwencyi prawa i władzy. Lecz, jeśliby tak było w istocie, przyznać - potrzeba, że zasady te ze swojej natury bardzo są chorobliwe i biurokraci z jednej strony, a socyaliści z drugiej mieliby słuszność, wypowiadając im wojnę.

Jeśli wolność i konkurencya nie są zdolne zapewnić harmonii ekonomicznej, jeźli one narażają na niebezpieczeństwo całą połowę rodzaju ludzkiego, to już sam fakt ten czyliż nie jest dostatecznym do wzbudzenia

(1) *Irrthümer der Socialismus* str. 8.

(2) *Principes d'economie politique*, Tom II. str. 319.
(3) *Lehrbuch der Nationalaekonomie*, str. 370.

ku nim słusznej nieufności? Jeśli zapewniają nas z jednej strony, że bezpożyteczną a nawet szkodliwą jest rzeczą ochraniać pracę i przemysł narodowy przeciwko cudzoziemcom, że wszelki przywilej, wszelki monopol stawiają tylko zawadę do wzrostu bogactw krajowych, że konkurencya zwiększając liczbę pracowników, a tem samem pomnażając produkcyą, jest zarówno dla wszystkich korzystną, i gdy jednocześnie głoszą, że nie można na niej polegać w zapewnieniu bytu kobiecie, że w tym przypadku pośredniem jej działaniem jest upadek, że uciemiężenie; to co nam wypada sądzią o tych sprzecznościach? Czy można mieć nadzieję przekonania socyalistów o niewzruszoności praw, gdy sami ich obrońcy głoszą o ich zmienności w skutkach? Jakiem prawem powstawać można przeciwko niebezpiecznym stronom urządzenia, skoro się w niem upatruje jedyną podporę w kwestyi tak ważnej, jaką jest zaprowadzenie harmonii w stosunkach ekonomicznych płci obojga?

Tak więc jeden błąd wiedzie za sobą cały szereg fałszywych dedukcyi, które wnet zmieniają się w nieprzenikniony labirynt. Nie mogąc przekształcić swojemi dowodami równości naturalnej na równość sztuczną, a zatem nastającą na wolność, przeciwnicy kobiet zmuszeni zostali samą siłą rzeczy, zmienić broń i poświęcić tę wolność, która dla nich była ideałem, rzucając w tę samą przepaść najbezwzględniejsze prawa ekonomiczne. Wystąpiwszy do walki przeciwko socyalizmowi, i nie znajdując w nim zwykłych sztandarów, ekonomiści na raz zmienili miejsce z nieprzyjacielem, zmieniając swój arsenał. W samej rzeczy, czyliż socyaliści wygłaszali kiedy co innego, jak to, że wolna konkurencya doprowadza do upadku i uciemiężenia, i na gwałt zaradzić temu potrzeba? Czyliż nie mówią oni także, iż nie można dozwalać, aby swobodnie powstawały nierówności naturalne, iż należy naprzód uporządkować zajęcia i rolę każdego członka w społeczeństwie? Czyliż-to jota, w jotę, nie to samo, co głoszą tacy ekonomiści, jak Roscher i Schafle, gdy usiłują na jednym poziomie umieścić *wszystkie* kobiety, i naprzód odkreślić granicę ich działalności? Po której tu więc stronie dążność do narzucenia równości i sztucznej niwelacyi? Czy po tej, gdzie żądają, aby wszystkie istoty ludzkie, bez względu jakiej są płci, miały prawo swobodnego rozporządzania swojemi czynnościami i swojemi zdolnościami; czy po tej, gdzie chcianoby ustalić w najdrobniejszych szczegółach rolę, zajęcia i właściwości moralne i intellektualne całej połowy rodzaju ludzkiego?

Wyparłszy się zasad, przekształcają fakta. Czytając powyższe wyciągi, sądzićby należało, że praca kobiet jest zjawiskiem nieznanem w naszem społeczeństwie, że idzie tu dopiero o jej zaprowadzenie. Kobiety w epoce, gdy zostają matkami — mówią nam—potrzebują opieki mężczyzny. Fakt ten nie przeszkadza jednak, aby znacznej ich liczbie nie zbywało na tej opiece, jakże tu więc można ograniczać sferę ich działalności? Znaczna liczba kobiet pracuje dziś, pomimo tej właściwości swojej natury, i zdaje mi się trudną rzeczą do zrozumienia, w czem ich położenie pogorszyłoby się, gdyby rozporządzać mogły obszerniejszemi środkami, i ubiegać się o zyskowniejsze zajęcia? dla czego przestałyby zostawać pod opieką mężczyzny w epokach, kiedy natura tego wymaga, w razach jak się to praktykuje obecnie?

Wróćmy do naszego porównania emancypacyi kobiet z socyalizmem. Widzieliśmy, że reformy, jakich się ten ostatni domaga, polegają na wyrzeczeniu się woli indywidualnej; nie dziejeż się to samo z kobietami? Czyliż—to ze szkodą obcą, pragną pozyskać wolność? Gdyby zgodzono się odrazu na ich równość cywilną i polityczną względem mężczyzn, i zniesiono ograniczenia prawne, które krępują ich pracę, czyliż ten fakt zmniejszyłby choćby na jotę summę wolności egzystującej na świecie i nastawałby w czem na wolną wolę całych klass i indywiduów? Widzieliśmy następnie, iż urzeczywistnienie marzeń socyalistowskich wymaga zburzenia ustalonego porządku; przeciwnie, chcąc nadać wolność kobiecie, nie tylko nie należy nic burzyć, lecz owszem podobny sposób działania szczególniej byłby dla niej szkodliwy. Wszakże nie przebudowania porządku towarzyskiego domagają się kobiety, lecz przyjęcia udziału w tym porządku. Czy można tych, co się upominają o zniesienie monopolu przemysłowego, oskarżać o to, że domagają się zniszczenia przemysłu? Kobiety nie pragną żadnej zmiany w społeczności, pragną tylko korzystać wraz z mężczyzną z jej dobrodziejstw z jej organizacji, i chcą, aby były rządzone temi samemi prawami, co ci ostatni. Gdzież tu, w tych słusznych domaganiach się, znajdują się wspólne punkta z socyalizmem?

Lecz – powiadają nam, i tu jak się zdaje dotykamy zasadniczego argumentu skierowanego przeciwko kobietom—wolność ta jest zjawiskiem przeciwko naturze, i wyrównywa zniesieniu rodziny, jednemu z najistotniejszych dogmatów socyalizmu. Wyznajemy, iż argument ten wydaje się nam niedosyć jasny; co tu jest przeciwnego naturze, czy fakt, że kobiety pracują ze szkodą swojego układu fizycznego, czy też konkurencya, z jakąby się ubiegały wraz z mężczyzną o zyskowniejsze powołanie? Odwoływanie się, jakie wciąż czynią do jej własności fizyologicznych, kazałyby wskazywać, że tu idzie o punkt pierwszy, tymczasem inne oznaki wyraźnie nam mówią, że miano na widoku punkt drugi. Prawda, iż trudno utrzymywać na pewno, że praca jest przeciwną naturze kobiety w obec ogromu uciążliwych jej zajęć, lecz w takim razie, jakiem prawem stawiają jako przeszkodę jej konstytucyą fizyczną, gdy chodzi o zajęcia popłatniejsze? Kobieta, będąc matką i karmiąc swe dzieci, może być nauczycielką w szkólce wiejskiej, a czemuż otrzymać nie może posady professora w kollegium? Dla czego pozwalają jej pracować w polu i fabryce, a wzbraniają jej doglądać tych robót i kierować fabryką? Dlaczego pozwalają jej być litografistką i expedytorką listów na poczcie, a odsuwają od urzędów wyższych i lepiej płatnych w tej samej gałęzi. Dla czego nie wzbraniają jej być akuszerką, a nie dozwalają zostać lekarzem? Przy najlżejszej analizie widoczną okazuje się rzeczą, że to nie w naturze szukać należy przyczyny tej anomalii, że jej prawa są tylko pozorem, okrywającym istotne przyczyny tego stanu rzeczy.

Zresztą, trudno pojąć, jakim wyskokiem myśli połączone z sobą dwa tak różne zdania, jakiemi są wolność kobiet i zniesienie rodziny. Jeżeli mężczyzna będąc wolnym stara się o utworzenie rodziny, dla czegożby kobieta wolna miała być do tego inaczej usposobioną? Wolność, której używa mężczyzna, nie przeszkadza mu uznać obowiązków, jakie żeniąc się nakłada na siebie; dlaczegóż zobowiązania kobiety wydałyby się jej mniej świętemi, skoroby ona przestała uważać się w obce prawa za małoletnią i mogła swobodnie wybrać sobie zawód? Gdy rodzina jest naturalnym fenomenem, potrzebaż dla zapewnienia mu bytu, uciekać się do ograniczeń wolnej woli kobiety? Powie znów kto, że kobieta powodowana ambicyą, gotowa opuścić domowe ognisko, albo też, że mężczyzni unikać będą małżeństwa, skoro poznają, że mają do czynienia z równemi sobie istotami. Lecz jeżeli się znajdują w istocie kobiety obdarzone wyższemi zdolnościami, tak iż mogą się spodziewać powodzenia w życiu publicznem i zbywa im jednocześnie na poczuciu obowiązków bezpośrednich, to wypadki te w każdym razie nie będą zbyt liczne, aby miały budzić wielkie obawy, a zresztą żadne prawo nie byłoby dość silne, aby zmusić te kobiety do spełnienia swych obowiązków. Czyliż nie ma tysiące innych sposobów, aby się od nich uchylić a jeśli wzbroniono pracować i zarabiać, to czyliż nie można rozwinąć swojej energii w wydatkowaniu i spożyciu? A między temi następstwami jest przecież różnica: kiedy kobieta zaniedbuje swoje obowiązki dla innej sfery działalności, przynajmniej jest jakaś kompensata w złem, które wyrządza, ale gdy je zaniedbuje, aby się oddać przyjemności wydatkowania, to ztąd wynika dla społeczeństwa utrata niczem niewynagrodzona.

Co do drugiego, czy ta wolność w istocie tak przestrasza mężczyzn dobrze myślących? Użycie władzy małżeńskiej, czyliż tak liczne ma zastosowanie u klass zamożnych, aby z trudnością przyszło jej się wyrzec? Korzystają z niej tylko niegodziwcy, ci właśnie, którzy jej nadużywają i pod tym względem owa władza mężowska podobna jest do paszportów, które ustanowione zostały dla ścigania złoczyńców, a tymczasem stały się plagą ludzi poczciwych. Mężowie, którzy w samej rzeczy uskarżać się winni na swoje żony, wolą znieść wszystko w cichości, niżeli uciekać się do prawa, a to przecież osłania tych tylko, których powściągać powinno.

Powiedzieliśmy, że przeciwnicy wolności kobiety starają się uzasadnić swoje zarzuty na prawach natury i dowieść, że ona jest przeciwną tym prawom. Przekonajmy się, czy ich sposób zapatrywania się na rzeczy zgodniejszy jest z naturą i jaki jest ideał, który stawiają naprzęciw emancypacyi kobiet.

(d. c. n.)

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

— Mało znam tę okolicę, rzekł, chociaż od Pruhowa nie bardzo jest odległą... Gromy bardzo są pięknie położone... ogród.

Herma całą twarz już zakryła. Lola jako gospodyni zabrała się na odpowiedź.

— Gromy nie mogą iść w porównanie z rezydencją pańskiego stryja. Pamiętam pałac z lat dawnych, bywałam tam gdy pan hrabia odbywałeś podróże... Park mi się bardzo podobał.

— Jest to dzieło mego stryja.

— O! stryj pański ma wiele gustu! dodała Nieczujska podsycając tę sztuczną rozmowę.

— Listu nie przeczytałam—wtrąciła Lola ciagle z wielką powagą, lecz samo to że mógł go pisać mój opiekun, już mnie uspokaja.

Roman nie śmiał wspomnieć, że list był dyktowany i drżącą ledwie podpisany ręką.

— Chwilowo jest... nie bardzo źle, odezwał się — lecz lekarze przestraszają nas.

— Bo to ci doktorowie—wtrąciła ciocia, zawsze gotowi straszyć tylko, aby mieć potem większą z uratowania zasługę.

Rozmowa tak przeraźliwie była pospolitą i nudną, że Herma, która się wcale innego spodziewała, zniecierpliwiona porwała się i poszła do okna. Dało jej to zręczność wystąpienia przed zdumionemi oczyma młodzieńca, z całym zalotnym wdziękiem postaci.

Zegar wskazywał dopiero drugą godzinę – do obiadu było niezmiernie daleko, minuty pełzły żółwim krokiem. Herma gdy wychodziła do salonu posprzecza

ła się była i nastraszyła Lolę, dowodząc że powinna sam na sam pozostać z hrabią Romanem... Z tego powodu przerażona Lola wymogła na przyjaciołce, że ją na chwilę nie opuści. Lecz zrobienie figla nadto było powabnem dla Hermy, aby na nią zbyt wiele liczyć było można. Lola truchlała.

W tej chwili dla jakiejś dyspozycji kamerdyner wywołał ciocię Nieczujską: okiem litości błagającem spojrzała Lola na towarzyszkę, która niby nic nie widząc i nierozumiejąc z kwiatkami u okna miała do czynienia.

Roman rozglądał się po salonie, ale w oczach mu się ćmiło, widział tylko przed sobą malowanego Hofratha, perpendykuł zegara i ogromne falbany sukni pani Hermy. Na Lolę nie miał nawet spojrzeć odwagi.

Pierwsze wejrzenie nauczyło go że była bardzo piękną, że ruchy jej pełne powagi, wrodzonym, instynktowym nacechowane były wdziękiem... Głos miała miły choć na pozór surowy. Nie zakochał się od tego spojrzenia bo w ogóle do zakochania był trudny, ale powiedział sobie że jako hrabina Zebrzydowska, Baronówna pięknie będzie wyglądać.

Jakkolwiek uprzedzona przeciw narzuconemu jej pretendentowi, Lola też nie znalazła go tak źle jak się lękała; wydał się jej krochmalny, sztywny, zimny ale znośny.

Herma zdaleka go egzaminując wyznała w głębi ducha, że daleko był pokaźniejszym od jej męża.

— Pan wiele podróżowałeś? zapytała nagle przysiadając się do niego Herma. Gdzież pan był?

— Po trosze wszędzie... rzekł Roman... podróż jednak odbywałem tak pośpiesznie iż za niezbędne uważam ją kiedyś, jeśli okoliczności dozwolą, powtórzyć.

— A Paryż pan zna? spytała Herma której narzucało się inne pytanie zaledwie litością dla Loli powstrzymane chciała go zapytać: czy był w Kołomyi?)

— W Paryżu mieszkałem kilka miesięcy... ale na Paryż i to za mało.

— Lub za wiele, dodała Herma, bo się już po kilku miesiącach pobytu tęskni za nim. Ja tylko kilka tygodni przesiedziałam tam... i zapomnieć go nie mogę! A! uroczy... Namawiam Lolę byśmy jechały razem...

Roman odpowiedzieć nie umiał; Lola strzępiła bardzo piękną batystową chusteczkę... Wchodząca napowrót Nieczujska zdyszana, popatrzyła na Lolę bladą, na zbyt rumianą Hermę, na wyprostowanego kawalera i w duchu rzekła sobie:

— To dopiero historia! Co ja tu z niemi pocznę....

Hrabia Roman z ciężko dobywających się z ust Loli wyrazów, z całej postawy jej, z twarzy, mógł poznać że nie był dla niej pożądanym gościem. Mógł się on tego spodziewać wcześnie, ale inaczej sobie wyobrażał tę wychowankę klasztoru, jako istotę trwożliwą, nieśmiałą, powolną, dziecinną. Znajdował w jej miejscu wprawdzie wiekiem młodziuchną, ale niezwykle surową, nasrożoną i zimną istotę, która mu się mówić zdawała, że go nie chce i że może sobie iść precz.

Takie na nim czyniła wrażenie. Zadanie stawało się nieskończenie trudniejszem niż sądził.

Nieczujska widząc zakłopotanie dwojga przyszłych małżonków, puściła się sama na gadaninę dosyć niezręczną, byle nie dać utrapionemu zapanować milczeniu. Plotła trzy po trzy, lecz to ratowało resztę towarzystwa od gorszego jeszcze łatania rozmowy przerywanej.

Mówiła co jej do ust przyszło... Roman kiedy niekiedy rzucił słowo, Herma miała pretekst do śmiechu, który ją dusił, Lola patrzała w okno, prawie się nie mięszając do rozmowy. Wszyscy coraz to spoglądali na zegar, który ze swemi pastuszkami huśtającemi się, jakby wcale nie szedł tak wskazywał powoli upływające minuty.

— Wszystko to nic jeszcze, mówił sobie w duchu Roman, ale po obiedzie! Co ja tu nieszczęsny poradzę i jak się z nią rozmówię.

Tej właśnie rozmowy Herma była najciekawszą, obiecywała sobie bądź co bądź ją podsłuchać.

Biła trzecia gdy kamerdyner otworzył drzwi i pani domu wejrzeniem zapraszając gościa za sobą, umyślnie podała rękę Hermie. Hrabia został z Nieczujską i musiał ją prowadzić. Zastanowił się w tej chwili mocno czy nie było w tem uchybienia formom, czy to nie oznaczało dłoń odepchnięcia i pogardy, ale kodeks przyzwoitości wytłomaczył mu iż z dwojga gości, gość kobieta zawsze miała pierwszeństwo.. Zostawała wątpliwość czy nie powinna była gospodyni jemu kazać prowadzić ją do stołu...

Nad tem obiecywał sobie później się zastanowić.

Stół zastawiony był bardzo skromnie: unikano widocznie występowania. Gospodyni posadziła przyjaciołkę na pierwszem miejscu w końcu stołu, sama usiadła z jednej strony z drugiej przez cześć dla płci należną, Roman pani Nieczujskiej krzesło ustąpił, a sam siadł prawie na samym końcu.. I to się jakoś nie dobrze złożyło. Widocznie nie przywiązywano tu wielkiej wagi do jego przybycia i osoby. Obiad też zadziwił go spartańską prostotą mimo indyka i kremu. W pałacu w Pruhowie dawano często jeść wcale niesmacznie ale z pewnym szykiem—tu go nie było...

Przy stole Herma sama bawiła wszystkich, a Roman powiedziawszy sobie, że nie ma nic do stracenia nie bardzo się na podobanie wysilał. Jadł, milczał i czasem słówko rzucił... zaczynał być czuć obrażonym. gospodyni jadła choć nie miała apetytu, aby nie pokazać wzruszenia jakiego doznawała...

Wstali od stołu wszyscy niekontenci z siebie, nawet Herma, której brakło oczekiwanego dramatu.

Kawę czarną bez likworów, co niezmiernie zastanowiło Romana, podano w salonie.

— Nie mam co robić, rzekł sobie w duchu, rozkazy stryja są stanowcze, przyśpieszę rozmowę, wezmę arbuza i jeszcze dziś odjadę.

Lecz właśnie owo przyśpieszenie rozmowy było niezmiernie trudne, bo wszyscy się uwzięli aby ją uczynić niepodobną. Wstrzymywana wzrokiem przyjaciołki, Herma w końcu i litością tknięta nie wychodziła z salonu, kręciła się po nim ciocia Nieczujska.

Zaczynało się na zmierzch zabierać, gdy Roman sięgnął po kapelusz: ruch ten nadzwyczaj wszystkich zastanowił... i zdumiał.

Pewni byli że zanocuje.

Przykre położenie dodało odwagi młodzieńcowi.... Wstał z krzesła. Nie miał już nic do stracenia. Zwrócił się ku Loli niemniej od innych zdziwionej a nawet trochę niespokojnej co to znaczyć miało.

— Gdyby pani była łaskawą kilku słowy odpowiedzieć na list mojego stryja... lub przynajmniej pozwolić mi z sobą pomówić słów kilka.....

Niezmiernie zmięszana Lola ruszyła się na kanapce—Ciocia Nieczujska przed chwilą była wyszła, Hermie dosyć było tych słów, aby się co najprędzej wysunąć i stanąć przyczajonej za drzwiami.

Zostali sami.

Roman z kapeluszem w ręku, w pozycyi jak do kontredansa, czekał na odpowiedź. Lola zwolna wzrok nań pytający podniosła...

— Treść listu— odezwał się młodzieniec—musi być pani wiadomą. Proszę wierzyć iż czuję całą excentryczność położenia w jakie mnie wola stryja a pani opiekuna wprawiła....lecz nie będę nadużywał go i radził pani... Jest to dziwactwo chorego człowieka, któremu jednem słowem możesz pani koniec położyć.....Wiem jak muszę być śmiesznym i przykrym gościem....

Lola się zerwała szybko z kanapy jakby po namyśle, z heroiczną odwagą.

— Pan się mylisz—rzekła, jakkolwiek wola mojego opiekuna zdawać się może dziwaczną, jest ona dla mnie wyrazem woli ojca... Gotowam jej być posłuszną...

Roman osłupiał.

— Tak jest, dodała, lecz spodziewam się że z tego pośpiechu, który spowodowała choroba, pan hrabia nie zechcesz korzystać. Podamy sobie ręce przy ołtarzu, rozpoczynając od tego lepszą wspólną znajomość...

Przymuszony uśmiech przebiegł jej usta.

— Nie wiem czy pan się mnie podobasz, nie śmiem sobie pochlebiać że ja mu się podobać mogę...

— A jeżeli nie.....

— No, to żyć z sobą nie będziemy! sucho odparła Lola. Ja pana nie znam...a zapowiadam że jestem wymagającą...

Roman milczał...

— Odmowa z mej strony, mówiła Lola, miałaby i ten skutek nieszczęsny, że mogłaby wpłynąć na stan zdrowia opiekuna, co wiecznie miałabym sobie do wyrzucenia. Jesteśmy więc przeznaczeni. Bardzo mi pana żal...

— A! pani, zawołał Roman, mnie nie ma co żałować, choć w istocie nieszczęśliwy jestem, będąc zmuszony dla pani być nienawistnym natrętem.

— Nie mówmy o tem, przerwała Lola, mamy wiele innych rzeczy do ułożenia wprzódy nim....nim się ta formalność odbędzie.. Pan jesteś człowiekiem honorowym, spodziewam się..... Roman się skłonił zdumiony tą śmiałością pensionarki...która mówiła dalej z rodzajem dziecinnej egzaltacyi.

— Ja pańskiej woli w niczem tamować nie będę, ale moją chcę zachować całą.

Znowu się skłonił Roman, słuchając coraz baczniej,

— Żyłam dotąd tak zamknięta w ciasnych murach, mówiła Lola głosem drżącym, iż pragnę świat szerszy poznać i zobaczyć... Nie będę od pana potrzebowała nic, bo mi na to starczą, jak mówią, dochody z majątku. Być może iż będę podróżowała......

— Sama jedna? zapytał Roman.

— Któż panu broni jechać też, byle nie razem ze mną? dodała Lola, ja chcę być swobodną ale pańskiej swobody nie krępuję.

— Pozwoli mi pani powiedzieć słówko? przerwał hrabia?

— Słucham pana.

— Cóż ludzie powiedzą na takie małżeństwo?— odezwał się strwożony widocznie. Przyznaję się pani że opinja świata obchodzi mnie wielce. że narażać się na nieprzyzwoitość lub śmieszność nie chciałbym za nic, ani na nie panią narażać.

— Wszak się to da uniknąć.. ja także śmieszną być nie chcę... ale przyznam się panu, że gdybyś pan udawał zakochanego a ja wzajemną, to dopiero byłoby prawdziwie śmiesznem.

— Nie wiem, odparł grzecznie Roman, boć zakochać się bardzo mogę i czuję.....

— A! proszę bez tych komplementów! przerwała Lola... ja w to nie wierzę.

Roman zamilkł.

Lola darła ciągle mówiąc chusteczkę, znać było po niej że naprzód sobie tę rozmowę osnuła, że ją obawiając się sama siebie, recytowała jak lekcyą. Nie śmieli spojrzeć jedno na drugie.

— I to jeszcze, dodać muszę, odezwała się Lola, że jestem charakteru energicznego, że nie łatwo daję rozkazywać sobie, że przemoc mnie oburza i że w małżeństwie niepodległą chcę pozostać. Wolę żebyś to pan wiedział wcześnie.

Roman słuchał coraz bardziej odurzony tą odwagą dziewiczą, naprzeciw niej on ze swej strony nie miał prawie nic do odpowiedzenia. Zdało mu się jednak, że w obec wyznań tak otwartych, powinien był także coś o sobie powiedzieć.

— Co do mnie, odezwał się, nie wiem prawdziwie, jakim jestem a raczej jakim będę — lecz mogę panią zaręczyć że nie popełnię umyślnie nic czembym się pani mógł narazić i że się starać będę raczej osłodzić jej życie, niż je zatruć.

Pani sama wiesz o tem najlepiej, iż w całem dosyć dziwnem staraniu mojem o jej rękę, jeżeli to tak nazwać można—nie było ani mej woli, ani winy. Stryj i okoliczności przemagające zmusiły mnie do tego. Pani także postanowiłaś uledz konieczności, nie będziesz więc chciała mścić się na mnie za winę nie moją.

Lola słuchała z uwagą,ale bynajmniej nie zmiękczona tem wyznaniem.

— Czy pani pozwoli mi choć do jutra pozostać? zapytał Roman.

— Nie bronię, proszę, i owszem. odparła Lola — ale zastanów się pan do czego się to przydało? Stryj pański jest chory i niespokojny, kilka godzin rozmowy nie zapozna nas lepiej z sobą. Możesz pan zabawić, ale nie wiem czy się to godzi i czy to panu bydź może przyjemnem?

Zmięszał się Roman: Lola miała słuszność, nie pozostawało mu nic, tylko zimną otrzymawszy posłuszeństwa obietnicę, wziąść kapelusz i jechać. Panna go w istocie przytomnością umysłu i chłodem, wyższością pewną którą uznawał, przestraszyła...

Nie mówiąc słowa. podniósł się z krzesełka i skłonił ceremonjalnie, a Baronówna wstała i z powagą przesadną ukłon mu w milczeniu oddała. Rozstawali się po tych kilku godzinach nie tylko nie zbliżeni ale poróżnieni prawie.

Już szedł do drzwi, gdy jakby na dany znak ukazała się z jednej strony Ciocia Nieczujska wielce niespokojna, z drugiej Herma z poważniejszą niż zwykle twarzyczką. —Obie zdala pożegnawszy, Roman znalazł się w sieniach cały pomięszany odprawą.

— O wiesz- odezwała się Herma postępując ku przyjaciółce przyznaję że nie mogąc się oprzeć ciekawości słuchałam pod drzwiami i powiem ci, że nie tylko jego ale i mnie przestraszyłaś swojem znalezieniem się. Ja bym tego nie potrafiła. Żal mi chłopca, bo wcale przyzwoicie i potulnie wygląda, a odpędziłaś go w sposób taki że we mnie litość wzbudza. Lolu! co się tobie stało?

Z zarumienioną twarzą Lola wstała

— Cóżem miała zrobić? miałam mu się zalecać i ze strachu go sobie jednać? Nigdy w świecie co ma być będzie, ale się nie ugnę.

— Lepiej mu było odmówić! zawołała Cocia Nieczujska—cóż on winien?

— A cóżem ja winna! odparła Lola.

— Skaranie Boże z tem stryjaszkiem na śmiertelnej pościeli— Jemu dobrze bo umrze i nie będzie świadkiem jak to piwo pić będą którego nawarzył, ale my! my! zawołała Ciocia Nieczujska za boki się biorąc.

Lola z dumą spojrzała na towarzyszki i szybko wyszła z pokoju Nikt nie dostrzegł że łzy miała na powiekach...

— Słowo Cioci daję! zamknęła Herma ja się sama Loli zlękłam!

(d. c. n.)

Korespondencya z Berlina.

Mało bezwątpienia znajdzie się wielkich miast w Europie, któreby tak szybko wzrastały jak Berlin i zarazem tyle ciekawych przedstawiały objawów w życiu społecznem, będących następstwem tegoż właśnie wzrastania. Zabierając się do pisania niniejszego listu, w istotnym byłem kłopocie czem się podzielić z czytelniczkami Tygodnika, tyle różnorodnych spostrzeżeń zebrałem od chwili powrotu mego do Berlina. Pragnąłbym jednak dać co najciekawsze, mianowicie zaś okazać na początek, jak stan moralny Berlina ma się w stosunku odwrotnym do materjalnego, jak w miarę wzrostu tego ostatniego zbliża się poziom pierwszego.

W ubiegłym dopiero co roku przyrost ludności i domów w Berlinie doszedł chyba swego maximum. Był to wynik zapału dla zwycięztw pruskich; potęga militarna olśniła Niemców tak, że ci pragnęli być jak najbliżej przedstawicieli tej potęgi, chcieli również ozdobić i powiększyć Berlin, aby go uczynić stolicą świata i odebrać tę nazwę Paryżowi.

Jak dawniej jednak tak i teraz Berlin mimo swego ogromu jest miastem czysto pruskiem. Uniwersalności dopatrzeć nie można, bo szczupła ilość cudzoziemców znika wśród ludności miejscowej i niczem się śród niej nie uwydatnia. Duma zresztą a raczej pyszałkowate przechwałki, o przodowaniu w cywilizacyi świata , bezwzględne chwalenie tylko tego co niemieckie (czytaj pruskie) odstręcza inne narodowości, które również pod wieloma względami toż samo prawo sobie roszczą, często z większą słusznością.

Niegościnność więc na tem polu jest pierwszym i najważniejszym powodem że Berlin nigdy stolicą świata nie będzie, a nawet nie będzie miał tej cechy jaką ma dziś np. Wiedeń.

Jedyną więc korzyścią wynikłą dla Berlina z ostatnich czasów jest przybytek znacznej ilości domów często okazałych i pięknych, jak również postawienie pomnika zwycięztw ostatnich. Pomnik ten będący chlubą Berlińczyków, posiada bezwątpienia szczegóły piękne, jak np. płaskorzeźby artystycznie wykończone, te ostatnie jednak na umartwienie Niemców są pomysłu i roboty Włocha.

Jeżeli jednak rzucimy okiem zdaleka na całość, to mimo imponujących rozmiarów, zmysł nasz estetyczny nie doznaje zadowolenia. Osobliwie posąg Victoryi jest co najmniej chybiony, najprzód, że jest za wielki do całości, a powtóre, że poza jej jest ciężką jak działo Krupp'a, a rysy twarzy zbyt ordynarne. Prusacy nie są szczęśliwi w dziełach sztuki.

Berlin, wzrósł zatem bardzo, ożywiły się interesa, potworzyły się różne wielkie przedsiębierstwa akcyjne i stan ten olśnił do tego stopnia publiczność, że na giełdzie kupowano papiery 2 lub 3 razy wyżej nominalnej wartości.

Gorączka złota trwała tu w rozmiarach niepraktykowanych: młodzież w znacznej części rzuciła się na pole finansowe, ze szkodą innych zawodów. Robotnicy dobrze płaceni, tysiącami się zgromadzali, ale przyszła spodziewana tylko przez niewielu rozważnych katastrofa, najprzód w Wiedniu jak piorun, a potem i w Berlinie tem gorsza że powolna, a zabijająca nieuchronnie w działaniu.

Naraz też bieg interesów zatrzymał się, kapitały zniknęły, pracowników w domach finansowych odprawiano dziesiątkami, wreszcie setkami. Robotnicy znaleźli się bez zajęcia i od tego to czasu datuje się zwiększona ilość kradzieży, napadów ulicznych i nakoniec morderstw, które obecnie są na porządku dziennym przerażając swoją śmiałością i cynizmem.

Nie mogę bawić się tutaj w opisywanie wypadków które poruszały całe miasto. Ogólnie tylko powiedzieć muszę, że morderstwa te odbywają się pojedyńczo, tak że nie można przypuścić, że zajmuje się nimi jakaś uorganizowana banda. Owszem złe w tem właśnie leży, że każdy działa na swoją rękę i że liczba zbrodniarzy w coraz większej ilości rekrutuje się z ludzi dawniej lub dotychczas porządnych, których tylko chciwość do zbrodni popchnęła, nie zaś brak potrzeb materjalnych. Sięgnijmy więc głębiej a postrzeżemy że dziś społeczeństwo berlińskie toczy robak zepsucia, będący zapowiedzią upadku moralnego w najwyższym stopniu. Zasada moralności i religii znika coraz więcej, zostawiając swobodne pole rozwijaniu się namiętności. Nie sądźcie że przesadzam, to co piszę jest wziętem z natury, jest owocem długich spostrzeżeń nietylko moich, ale i wielu innych oddawna na to patrzących.

Obraz ten zaś ciemnieje z dniem każdym, a musi istotnie przybierać smutne rozmiary, jeżeli już zwraca na siebie uwagę nawet upojonych własnemi przechwałkami! Berlińczyk zdaje się flegmatyczny, dziś skory do bójki jak ognisty Włoch, i jak ten w bójce bierze się zaraz do noża. Kilka dni temu czternastoletni malec strzelił do swego majstra, u którego pracował. Czeladnik ślusarski 18 lat liczący, spełnił głośne w całym mieście morderstwo na osobie właściciela sklepu cygar: summa, dla której się dopuścił zbrodni, nie przenosiła 100 talarów. Odwaga jego i zimna krew godne były zaiste lepszej sprawy.

Wiele się do zwiększenia podobnych wypadków przyczynia, zbyt łagodne postępowanie sądów, które naprzykład niedokonane choć zamyślone zabójstwo karzą paromiesięcznem więzieniem. Znaczna ilość przestępców uchodzi przed sprawiedliwością z powodu niedołężnej policyi, która niewiadomo co robi. Ile razy bójka jest na ulicy, tyle razy policyanci wynoszą się w przeciwną stronę, a jeżeli przypadkiem który z nich znajdzie się w pośrodku walczących, to trzyma się od nich w przyzwoitej odległości: bo się boi szturchańców, a wzywając do porządku, podobny jest do wołającego na puszczy. Podobnież bezkarnie uchodzi owe slawne kupczenie biletami przy teatrach królewskich. Przemysłowców takich jest coraz więcej i stają się plagą publiczności. Cóż z tego że wydano rozporządzenie, iż od 5-ej do 8-ej godziny wieczorem niewolno kupczyć przed teatrem biletami? Rozporządzenie nie ma stróżów i jest tylko martwą literą, bo jeżeli policyant zbliży się w stronę gdzie się *handel* odbywa, to interesowani oddalają się o dwadzieścia kroków i tam kończą interes.

Z przytoczonych tu danych łatwo można sobie utworzyć zdanie o dzisiejszym stanie społeczeństwa berlińskiego, ja zaś pośpieszam podzielić się na zakończenie z kilkoma bieżącemi wiadomościami.

Zacznę od wspomnienia choć pobieżnego o wystawionym tu wielkich rozmiarów obrazie Makart'a noszącym tytuł: *Cześć oddana Katarzynie Cornaro przez Wenecyę.* Obraz to w istocie imponujący rozmiarami, kolorytem i pięknym ugrupowaniem.

Katarzyna siedząca na tronie i przyjmująca dary, jest prawdziwie piękną. Kostiumy odwzorowane z historyczną dokładnością, całość obrazu nie grzeszy zbytniem rozrzuceniem postaci. Jeżeli jednak mówić mi przyjdzie o myśli przewodniej jaka w dziele sztuki znajdować się winna, to wyznam szczerze, iż nie sądzę, aby myśl była głęboką i godną aż takich rozmiarów zewnętrznych. Zdaje mi się że w historyi Wenecyi, bezporównania więcej interesujących tematów mógłby malarz odnaleźć. Dla tego też od obrazu tego odchodzi się z chłodem takim z jakim się przyszło. Oko zostało zadowolone, lecz dusza i serce żądają jeszcze czegoś.... czego w owym obrazie nie ma.

Dramat Berliński postanawia poznajomić publiczność ze wszystkiemi prawie dziełami Szekspira. Zajmuje się obecnie szeregiem koronowanych kreacyi wielkiego poety. Gra artystów staranna, ale więcej hołduje chłodnemu pathos, aniżeli naturalności, do jakiej przyzwyczajony byłem na wybornej scenie Warszawskiej. W komedyi wyższej patetyczność ta jeszcze bardziej razi. Przekonałem się o tem będąc na sztuce Pawła Lindau p. t. Diana. Prawda że i utwór ten nie nosi na sobie cech wielkiego talentu, i autor jej który doznał takiego powodzenia przy pierwszej komedyi noszącej tytuł: Marya i Magdalena, pozwalał wszystkim przypuszczać, że drugie dzieło okaże postęp. Stało się jednak przeciwnie i zawód ten odbił się w niekorzystnych krytykach o Dianie.

Na brak muzyki narzekać w Berlinie nie można. Bilse gra codzień, dobrze mu się powodzi i to widać jest przyczyną, że repertuar jego spoczywa w przerażającej nieruchomości.

Bywając na jego koncertach w Warszawie i czytając tutejsze programy, podziwiam, jak ten człowiek wytrzymać może w zaczarowanym kole pewnej liczby utworów. Sądziłem więc, że nowo otwierająca się sala koncertowa i nowa olbrzymia orkiestra dająca od Bożego Narodzenia, również codzienne koncerta, będzie chciała rywalizować z Bilsem nowościami, albo też dawnemi mniej grywanemi dziełami. Omyliłem się jednak mocno. Dotąd oprócz jednej niedołężnej Suity Węgierskiej Hofmana, nie dano nic większego i interesującego nowością. A jednakże przerzucając stosy nowych wydawnictw, widzę że możnaby niemi zapełnić dziesiątki symfonicznych koncertów. Pod tym względem księgarze więcej się interesują młodymi talentami, niż świat artystyczny, spoczywający w objęciach spleśniałej rutyny. To też wiele dzieł istotnej wartości leży na półkach księgarskich nieznanych publiczności niemieckiej, która jednak wielokrotnie już dała dowody dojrzałości sądu i interesowania się współczesnemi kompozytorami.

Znajomy z Warszawy Cyrk Salamońskiego, cieszy się tu od 25 z. m. i r. wielkiem powodzeniem i szczęśliwie rywalizuje z ulubionym Renzem, który już został obywatelem Berlina i ma własny cyrk. Mimo tak silnej podstawy Renza nie wahał się Salamoński ryzykować wielkie kapitały na wystawienie wspaniałego i olbrzymiego na cztery tysiące osób cyrku w Markt Hallen i trzymając się przysłowia: audaces fortuna juvat, jest obecnie na drodze do majątku. Być może iż wtedy odnowi myśl wystawienia cyrku w Warszawie, na czem miasto nasze skorzystałoby, przyozdabiając się ładnym gmachem.

Z. N.

O ZGODNYM UKŁADZIE ŻYWIOŁÓW ZIEMI.

(Dalszy ciąg.)

Kierunek prądu Gulf Stream wymaga pewnego objaśnienia. Woda również jak powietrze ułożoną jest odpowiednio do zagięć właściwych skorupie ziemnej, z tego powodu morze przedstawia pod zwrotnikiem pewną wypukłość ułatwiającą spadek wzmiankowanego prądu ku biegunom. W przebiegu swym napotyka góry lodowe, postępując w kierunku odwrotnym na zasadzie siły odśrodkowej. Różne zupełnie przyczyny wywołują jednostajne następstwa; prąd Gulf Stream utrzymany jest na powierzchni z powodu ogrzania, góry zaś lodowe z powodu zamarznięcia są lżejszemi gatunkowo od unoszącej ich wody.

To wszystko cośmy powiedzieli powyżej, dotycze oceanu Atlantyckiego, ale i ocean Spokojny posiada właściwą sobie rzekę, której początek, przebieg i zadanie są jak najzupełniej zgodnymi z opisanym prądem na Atlantyku. Jest zaiste rzeczą godną uwagi, że obydwa oceany na dwóch przeciwnych półkulach przedstawiają zjawiska jak najzupełniej sobie odpowiednie.

Morze przeto posiada podwójny prąd, będący jednostajnym z podwójnym prądem powietrza, tym sposobem wszystkie warstwy płynne i lotne pozostają w ustawicznym ruchu, co ich zabezpiecza od rozkładu i zbytniego nagromadzenia w jednem miejscu szczątków istot zniszczonych.

Nadto prądy te służą za przewodnika dla ryb i ptaków, wskazując im właściwy kierunek ich wędrówki.

Oprócz tego morze podległem jest ruchowi powrotowemu w stale oznaczonych godzinach, będącego wypływem odmiennego zupełnie prawa. Mówimy tu o przypływie i odpływie morza, wywoływanych przez podwójne działanie księżyca i słońca. Czynność ta dokonywaną jest dwa razy w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Morze usiłuje jakby zawładnąć wybrzeżami, ale po pewnym przeciągu opuszcza je, aby przyjść na nowo i na nowo odejść, zachowując zawsze jak najdokładniejszy wymiar czasu. Jakkolwiek przypływ i odpływ ma w ogóle oznaczone stałe zakresy, zjawisko jednak nie jest jednostajnem, gdyż wysokość wzniesienia lub spadku jest zawisłą wielce od wzajemnego położenia wzmiankowanych powyżej dwóch ciał niebieskich.

Opisywany ruch morza ma głównie na celu rozrucać w różnych kierunkach wodę słodką, przypływającą z rzek, aby ją zaopatrzyć w sól pozostałą po ulubionej wodzie morskiej. Czynność ta dokonywaną jest na powierzchni, tak że ruch wzmiankowany dotycze jedynie warstw zewnętrznych, a spodnie warstwy względnie tego ruchu zostają w jak najzupełniejszym spoczynku.

Morze jest jeszcze podległe nadzwyczajnym ruchom, które już ujęła nauka w pewne stałe prawidła. Ruchy te z wielu względów są nadzwyczajnie pożytecznemi, chociaż człowiek pospolity patrzy na nie z podziwem często z gniewem, nie umiejąc zrozumieć dobroczynnych następstw burzy lądowej lub morskiej. Uragany na przestrzeni wodnej są bezporównania gwałtowniejszemi aniżeli na stałym lądzie, bo nie znajdują żadnego oporu, mogącego ich powstrzymać lub rozproszyć.

Najstraszliwszym ze wszystkich jest tak nazwana trąba morska, będąca jednoczesnym wirem powietrza i wody, biegnącym z nadzwyczajną szybkością i obejmującym swoim kształtem szrubowym częstokroć bardzo znaczną przestrzeń. Ruch tej trąby jest podwójny, postępujący i kręcący, a wytworzonym jest pod wpływem elektryczności, parowania i cieplika. Powietrze ułożone w formę szrubową porywa w swoje objęcia wodę morską, ale nie w jednej massie ściśniętą lecz w drobnych cząstkach mięszającą się z deszczem i wiatrem. Trąba morska pozornie rzeczy biorąc zdaje się być dziełem wypadku, przy bliższem jednak rozpatrzeniu dostrzeżemy, że jest ona w przyrodzie zwykłym czynnikiem, mającym oznaczone miejsce czas i wskazane zadanie właściwe. W pewnych miejscowościach burze morskie są naprzód wiadomemi i oznaczonemi dokładnie prawie co do godziny, nadto co do swego kierunku podlegają stałemu prawu. Zgodnie z ruchem ziemi biegną zawsze z zachodu na wschód i na obydwóch półkolach przerzynają zawsze okolice podzwrotnikowe, gdzie ich czynność jest najużyteczniejsza dla zaprowadzenia należytej równowagi pomiędzy żywiołami ziemi.

Blizkość morza łagodzi klimat tak co do zbytniego zimna, jakoteż co do zbytniego gorąca, ponieważ woda posiada tę własność, że może brać wiele cieplika bez wielkiego ogrzania, jakoteż może wiele stracić takowego bez wielkiego oziębienia. Morze przeto ulegając mniejszym zmianom co do stopnia swego ogrzania, oddziaływa odmiennie w dwóch przeciwnych kierunkach, bo względnie rzeczy biorąc, ku południowi posyła chłodniejsze, a ku północy ocieplone warstwy wody, a tem samem przyczynia się wielce do utrzymania w stanie powietrza należytej równowagi.

Woda morska z powodu swego powinowactwa z sobą, ulega zamarznięciu jedynie tylko pod wpływem bardzo wielkiego zimna, a nadto początkowy lód jest zawsze tworzonym w blizkości lądu; woda słodka przeciwnie ulega łatwemu zamarznięciu, i poprzedza zawsze wodę morską. Zachowany porządek w tej mierze jest koniecznym, bo wypadało przedewszystkiem powstrzymać a przynajmniej zwolnić bieg rzek, a dopiero później można im było zamknąć przystęp do morza.

Obwód morza ulega ciągłej zmianie, ale powolnie i w kolei wielu wieków. Bałwany morskie zmieniają kształt sąsiednich płaszczyzn, zasp piaszczystych a nawet skał nadbrzeżnych przez ustawiczne swoje oddziaływanie. Podwyższenia ziemi jakoteż zaspy wytworzone w łożyskach rzek, zniewalając je do zmiany koryta, wywierają również wpływ na zmianę okręgu morza. Zjawiska te jednak są nadzwyczajnie powolne, bo są wypływem nieznacznych ale ustawicznych czynników, przyspasabiających wytrwale najważniejsze przemiany na kuli ziemskiej.

Co do swego składu chemicznego, woda morska obfituje w tlen a szczególniej w wodoród; pierwszy niezaprzeczenie zajmuje najważniejsze miejsce pomiędzy ciałami lotnemi, drugi ze wszystkich ciał palnych zaopatrzonym jest w największą ilość cieplika. Nadto przestrzenie oceanów i mórz są składem dla rozmaitego rodzaju minerałów, z których głównemi są: chlor, brom, jod, soda, potaż i wapno; dochodzą one do morza za pośrednictwem rzek, niosących je częstokroć z okolic bardzo odległych. To też warstwy wody morskiej można uważać za jakieś wielkie laboratoryum, w którem odbywają się najważniejsze czynności chemiczne. Woda nastręcza w tej mierze więcej ułatwień aniżeli ziemia i powietrze, bo stan płynny rozpuszcza łatwo nagromadzone sole, a tem samem ułatwia związki i oddziaływania chemiczne.

Dla naturalisty morze przedstawia bardzo wiele zajmujących szczegółów. Rośliny morskie dochodzą częstokroć rozmiarów bezporównania większych od roślin stałego lądu, co jest zgodnem ze stosunkiem powierzchni ziemi do powierzchni morza. Jedna z roślin nosząca nazwisko diurwillja, dochodzi częstokroć czterystu metrów wysokości. Podobnież wieloryb jest największem zwierzęciem na kuli ziemskiej. W ogóle jednak rośliny morskie są nieliczne i przedstawiają nie wiele rozmaitości, bo tylko wyjątkowe rodzaje znoszące obecność wody i soli, mogą zakiełkować i dojść do należytego rodzaju. Ze względu jednak że mieszkańcy morscy są po większej części mięsożerni, wielka zatem obfitość roślin byłaby zupełnie nieużyteczną, czyli że i w tym razie zgodność warunków i potrzeb jest jak najściślej zachowaną. Kwiaty morskie nie posiadają świetnych ozdób właściwych kwiatom lądowym, rozmaitego jednak rodzaju polipy pozornemi swemi koronami tworzą świetne wysepki w pośród oceanu, a miljony błyszczących muszli unoszących się na wierzchołkach bałwanów, czynią powierzchnię morza podobną do łąki okrytej świetnemi motylami.

W morzach jest bezporównania więcej mieszkańców aniżeli na ziemi, nadto panuje tam większa rozmaitość i większy ruch aniżeli na lądzie stałym. Nie ma tam człowieka, nie ma pól uprawnych, a tem samem wszystkie warstwy wody oddano na usługi istot żyjących. Zwróćmy jeszcze uwagę, że powierzchnia mórz będąc większą od powierzchni ziemi, przedsta-

wia tem samem więcej przestrzeni dla swoich mieszkańców, a kiedy na ziemi zwierzęta kopiące nory schodzą najwyżej do dziesięciu stóp głębokości, rozmaitego rodzaju ryby i mięczaki, znajdują wygodne pomieszkanie w sto razy większych głębinach morskich.

Wszelkiego rodzaju stworzenia znajdują swoje pomieszczenie w morzu tak posiadające kość pacierzową, jakoteż mięczaki stawowe i promieniste; większy jest jednakże bez porównania stosunek istot niższego rozwoju wewnętrznego, a to w tem znaczeniu, że kiedy naprzykład ssących ilość jest bardzo niewielka, to przeciwnie obfitość zwierzo-krzewów jest zadziwiająca.

Niepodobna wyliczyć wszystkich mieszkańców morskich, począwszy od ogromnych wielorybów, aż do niewidzialnych wymoczków. Same nazwy byłyby niewystarczające, a chcąc opisać ich obyczaje potrzebaby zapisać obszerne tomy.

Tutaj wieloryby pomimo ogromu swego ciała posiadają lekkość gatunkową lżejszą od wody; gdzie indziej potfisze, podtrzymujące ciężar swej głowy za pośrednictwem warstwy nagromadzonego wosku; to znowu jednorożce morskie posiadające kilkołokciowe kły w kierunku poziomym, tem straszniejsze, że sam zwierz jest wielkim, silnym i płynącym z nadzwyczajną szybkością. Podziwienie nasze będzie niemniejsze skoro zobaczymy torpile uzbrojone w baterje elektryczne, espadony ze szpadami i piewry ze straszliwemi ramionami zaopatrzonemi w bańki, wyciągające krew z pochwyconej zdobyczy. Nietylko jednak potwory ale zobaczymy i inne przedmioty zwracające uwagę ze względu na piękno im właściwe, począwszy od świetnych łusk rybich, od bogatych pancerzy skorupiaków aż do koralowego kwiatu z żywemi płotkami, aż do gąbki będącej prawdziwą krainą odrębną, zamieszkałą przez galaretowate zwierzątka żyjące wspólnie jakby jakaś gmina komunalna upłynionych wieków.

(d. n).

Korespondencja zagraniczna.

(Dokończenie).

Libres! (Wolni!) dramat w 8 obrazach, Edmunda Gondinet, przedstawiony w Porte-Saint-Martin. Surowi krytycy zarzucą może, iż dramat ten nie jest ułożony według reguł i zasad dramatycznych, że niektóre sceny pojedyńcze są za słabe: może to i prawda, ale całość wielkie budzi wrażenie, widzowie opuszczający teatr unoszą miłe wspomnienie, a dusze ich miłych doznają wrażeń.

Treść bardzo prosta, są to dzieje polemarchy Seleidy, Lambrosa, i miłości narzeczonej jego Kryzeis, oraz zdrady nikczemnego Andronikosa. który wiedziony zazdrością i nienawiścią dla współzawodnika, wydaje kraj swój Alemu, paszy Janiny. Bez wątpienia dramat nie zaleca się nowością pomysłu, ale pociąga całością i wzniosłemi scenami, przedstawiającemi wyzwolenie narodu. Wszystko tu oddycha werwą i życiem i zaciekawia widza.

Nigdy może jeszcze sztuka dekoratorska tak wysokiego nie dosięgła stopnia. Widz zapomina gdzie jest i chwilami zdaje mu się, iż znajduje się na wybrzeżach Peloponezu pokrytych drzewami, których korony wznoszą się po nad modre morskie fale. Dekoracya przedstawiająca Grand-Souli. jego białe domki, kwitnące kaktusy, winną latorośl rozpinającą się aż po czerwonych ceglanych dachach, most zarzucony po nad strumieniem, jest prawdziwem arcydziełem. P. Rube, twórca tych dekoracyi odtworzył prawdziwy krajobraz grecki z fotograficzną wiernością; co nie mało przyczynia się do powodzenia sztuki.

Ambigu Comique wystawił dramat w V aktach p. Crisafulli, p. t. Morskie wybrzeża Penmarck; tyle tu przygód, zbrodni i okropności, że ich streścić prawie niepodobna. Kto lubuje się w gwałtownych wstrząśnieniach, zupełnie zadowolony wychodzi z przedstawienia. Mojem zdaniem podobne sztuki wprawdzie budzą konieczne wrażenie, ale podobne temu gdyby ktoś dla przyjemności przesuwał sobie po ciele rozpalone żelazo.

Opuszczam więc *Ambigu-Comique* a śpieszę do *Odeonu* gdzie dają wesołą, pełną werwy i dowcipu komedję, w jednym Akcie p. Edmonda Cottinet, p. t. *Le docteur Bourgnibus*. Od pierwszej do ostatniej sceny prowadzona jest nader zręcznie, położenia bardzo komiczne, wiersz gładki i potoczysty, tryskający żywym dowcipem. Doktór Bourguibus jest to sobie dobry człowiek, ale ma małego bzika, a tym jest bezgraniczna litość dla wszystkich hultai i łotrów. Nie mówcie mu o ludziach uczciwych, tacy nie potrzebują współczucia ani litości, na ziemi mają pociechę w zadowolnieniu własnego sumienia, a po za grobem czeka ich niebo. Ale zbrodniarze, zabójcy, mordercy których prawo, „niegodziwe" prawo dotyka nieubłaganą prawicę, mają wszelkie tytuły do zajęcia i litości doktora Bourgnibus, wszak może wyleczyć ich dusze: Przecież doktór nie leczy zdrowych i chorymi tylko zajmować się winien, a wszakże każdy zbrodzień jest to chory potrzebujący radykalnej kuracyi, trzeba tylko chcieć i umieć a można go wyleczyć.

Dzięki takiemu przekonaniu, doktór zbrojną ręką wydziera z rąk oprawców niejakiego Spalâtre'a, który miał być powieszony i ukrywa go w swoim domu.— Wprawdzie tę jego wycieczkę przypłaciło życiem pięciu uczciwych ludzi... ale to fraszka! Czemże są pięciu sprawiedliwych w porównaniu z jednym kandydatem do szubienicy!

Widzimy więc Spalâtre'a w domu doktora i przekonamy się czem dzięki tkliwem staraniom, stać się może zbrodzień oderwany od szubienicy. Doktór otacza „pacyenta" najtroskliwszą opieką, dogadza wszelkim zachciewkom, wybiera mu najsmaczniejsze kąski i najdelikatniejsze potrawy, przykazuje służbie aby była posłuszna na każde jego skinienie, a nie dość na tem, obiecuje mu oddać rękę swej siostrzenicy po *skończonej kuracyi*. Gdy Spalâtre śpi, głębokie otacza go milczenie, a gdy otwiera oczy muzyka pieści jego ucho, doktór na skrzypcach a siostrzenica jego na mandolinie, grają jakiś rzewny, poetyczny utwór. Spalâtre się budzi, marząc jeszcze o zabłąkanym podróżnym, którego zabija i obdziera w ciemnym lesie. Dość że kuracya powiodła się tak doskonale, iż Spalâtre nietylko sam kradnie co najlepsze, ale jeszcze namawia służących doktora i połączonemi siłami okradają go ze szczętem. Tak więc biedny doktór drogo przypłaca swe teorye humanitarne, i kto wie do czegoby jeszcze przyszło, gdyby nie szczęśliwy pomysł ukochanego ładnej siostrzeniczki Bourgnibusa. Przebrał on się za kata i przyszedł domagać się wydania mu zbrodniarza skazanego na szubienicę, którego doktór ukrywa w brew prawu; ujrzawszy mistrza sprawiedliwości Spalâtre ratuje się ucieczką, przeklinając tego niedołęgę doktora, że go na podobne narażił spotkanie. I wszystko dobrze się kończy, doktór zostaje uleczony ze słabości do łotrów i nienawiści do policyi, a publiczność głośnemi oklaskami nagradza autora i artystów za oryginalny pomysł i doskonale odegraną komedyję.

J.

Przegląd literacki.

SKARBCZYK POWIEŚCI I OPOWIADAŃ wydanie Józefa Grajnerta, Warszawa 1874 r. Tom I zawiera: **Biedny Grzesio** p. J. Dzieszkowskiego, **Pasterz i Hrabia**, z fran. przełożyła C. Falkowska. **Okropna Tajemnica**, z ang. przez Z.

Tom II: **Widzenie Pana Kajetana** opow. przez F. **Szymon Werde** pow. hiszp. Fernana Caballero, przełożył z oryg. R. G., **Gołąbek** opowiadanie A. E. Odyńca.

Tom III: **Suema**, niewolnica afrykańska etc. Mra Gaume, przełożył z fran. Wacław Sadkowski, **Zwadzijasz** p. Józefa Grajnert a.

Tom IV: **Kontrabandzista** Karola Vallut, przełożył z fran. K. Bujnicki, **Marysia**, powieść Kujawska p. Wydawcę Skarbczyka.

Tom V: **Powieść Kujawska** (druga część Maryi przez Wydawcę, **Bukiet z krzyżykiem** przez F. **Majtkowie okrętu Wawrzyńca** z franc. p. F. C. Falkowską. **Rozum i szczęście** z podania czeskiego.

Społeczeństwo rozwijające się według praw przyrodzonych, po różnych przemianach czasowych, przychodzi do pewnego punktu, który pozwolimy sobie nazwać punktem jego pełnoletności, a wtedy z całą świadomością rozumnej istoty rozważa okoliczności, w których się znajduje, oblicza się skrupulatnie ze swojemi materyalnemi i intellektualnemi zasobami, postrzega na czem mu zbywa, a co potrafiło sobie przyswoić, i nie pragnąc rzeczy niemożliwych, stara się ukrzepić swój organizm przez odmładzające pierwiastki, jakich mu dostarcza obficie postęp tegoczesny. Ów postęp, z którejkolwiek nań zapatrujemy się strony, polega na dwóch nierozdzielnych czynnikach: światła i ciepła. A jako żadna istota wyższego organizmu obyć się bez nich nie może, tak społeczeństwo pragnące żyć życiem istotnem nadewszystko o takowe starać się winno. Jest światło bez ciepła i ciepło bez światła: pod ich wpływem, skoro wzięte są oddzielnie, rozwija się wprawdzie życie, ale to życie ani zdrowem ani trwałem być nie może. Jednostki i społeczeństwa całe dają niekiedy przewagę jednemu z tych czynników, ale nie wyłączają ich zupełnie, nie chcąc dopuścić się samobójstwa.

Mówiąc bez metafory, społeczeństwa postępowe kształcą zarówno rozum jak i serce; uprawiają nauki, nie zapominając o moralności; starając się o dobrobyt materyalny, nie stają się zbiorowiskiem samolubów, nie troszczących się o los swych bliźnich; szukając wreszcie i badając prawdę we wszystkich jej objawach, nie popadają w obojętność na najświętsze uczucia, wrodzone każdemu człowiekowi...

Czy nasze społeczeństwo przyszło już do owej pełnoletności, do owego samopoznania, i czy wspiera się na podobnie pojętym postępie, to zupełnie inne pytanie, na które, wyznajemy z przykrością, nie moglibyśmy odpowiedzieć w sposób twierdzący, chociaż z drugiej strony trudno zaprzeczyć że daje się postrzegać wiele znamion zwiastujących zbliżenie się tej pożądanej epoki.

Na ludziach dobrej woli nigdy nam nie zbywało i nie zbywa, na ludziach, co pojmując ducha czasu i jego potrzeby, o ile im siły i okoliczności pozwalają, idą naprzód, torując drogę innym, na ludziach wreszcie, którzy w dobrze pojętym interesie własnym, dzielnie służą społeczeństwu, którego są członkami.

Rozwój naszego przemysłu, handlu, a w części i rolnictwa najlepszym tego dowodem. A jako rękojmię lepszej przyszłości uważać należy zbudzone we wszystkich warstwach społecznych gorące pragnienia oświaty, bez której owe trzy czynniki bogactwa na-

rodowego, albo są niemożliwe, albo efemeryczne, trwałości.

Do oświaty, choćby tylko w widokach poprawienia i zabezpieczenia sobie bytu materyalnego, garną się dziś wszyscy: nigdy nie był większy napływ młodzieży uczącej się, lub pragnącej się uczyć. Środki przecież, jakiemi rozporządza społeczeństwo nasze, niezawsze mogą podołać bieżącym potrzebom, *dlatego* też *szkołom* przychodzi w pomoc *samouctwo*, czerpiące ożywcze soki w pupularnych publikacyach, pismach peryodycznych, oraz wydawnictwach rozpowszechniających zamiłowanie w czytaniu rzeczy, które zajmując wyobraźnię kształcą rozum i budzą ducha z uśpienia.

Na tem nieprocentującem odpowiednio polu, a pełnem cierni i głogów, liczba chętnych i zdolnych pracowników niezbyt wielka, dlatego na tem większe zasługują uznanie i zachętę ich szlachetne usiłowania.

Między pracownikami tego rodzaju, od lat kilku niezwykłą rozwinął działalność znany krajowi poeta, p. Józef Grajnert, były redaktor i założyciel „Zorzy", a obecnie wydawca „Skarbczyka powieści i opowiadań", którego wyszłych pięć tomików dają nam pewną miarę o chęciach i zamiarach szanownego wydawcy.

Dla kogo przeznaczona publikacya pana Grajnerta?

Wnosząc z formy, tendencyi i licznych objaśnień, których wydawca nie szczędzi, łatwo odgadnąć; że „Skarbczyk" przeznaczony dla mniej ukształconego czytelnika, który możeby się nie poznał na wykwintnym stylu naszych felietonistów, ale o tyle jest rozgarnięty, że złe nazwie złem, a dobre, dobrem. „Skarbczyk" jest publikacyą ludową.

Tu znów nastręcza się pytanie, kogo przez lud rozumieć należy, i jaki jest najzwyklejszy jego podział? Lud, tak często służący na Zachodzie za szyld w swarach politycznych stronnictw, i będący wyrazem tendencyi demokratycznych, u nas stanowi potulną, cichą i oddaną pracy, najliczniejszą część społeczeństwa, która ani mieniem, ani urodzeniem, a tem mniej wykształceniem nie należy do warstw tak zwanych wyższych. Ludem zowią się u nas ludzie pracy, ludzie, którym z trudnością przychodzi zaspokojenie najpierwszych potrzeb materyalnych i umysłowych. Ta najliczniejsza i najmniej uposażona część społeczeństwa rozpada się na: lud miejski i wiejski, różniący się między sobą obyczajami, wadami i przymiotami. Nie jest-to podział sztuczny, lecz z samej natury rzeczy wypływający, a chociaż lud, czy-to wiejski, czy miejski, stanowią ludzie, a jako tacy, wspólne mają potrzeby ciała i ducha, wszelako miejscowość i warunki, w których żyją, wyróżniają ich tak dalece, iż chcąc pisać dla ich pożytku, różnemi drogami iść potrzeba.

Lud miejski przez samo zetknięcie się z tylu różnorodnemi pierwiastkami cywilizacyjnemi, ulega pomimowolnie oddziaływaniu swojego czasu, dowiaduje się chociaż powierzchownie o wielu rzeczach, nabiera pewnego poloru i ogłady, ale traci najczęściej na czystości i prostocie obyczajów, staje się samolubem i pogrąża w namiętnościach, nieznanych wsi mieszkańcom. Znajdując się w ognisku bogactw, jakie wytwarza przemysł i handel, stosunkowo rzeczy biorąc, lepszego używa bytu materyalnego, ztąd jego pragnienia i instynkta stają się jeśli nie szlachetniejsze, to przynajmniej zgodniejsze z instynktami i pragnieniami ucywilizowanego świata.

Lud wiejski znów, z natury konserwatysta, ciemny, ślepo przywiązany do starych zwyczajów, najczęściej opartych na przesadach, obojętnym się staje na nędzę, nawet duch jego śpi i nie łaknie światła. Jeśli zaś zbiegiem okoliczności wybuchnie jaką namiętnością, to ostatnim jej wyrazem zwykle jest... zbrodnia.

Otóż chcąc za pomocą książek oddziaływać na te dwa tak różne żywioły, różnych używać trzeba środków. Doświadczenie przekonywa, że co zabawia prostodusznego wieśniaka, słuchającego niedorzecznej bajki z rozwartemi ustami, to nudzi pracownika od szydła lub młota, i na odwrót, gdy temu ostatniemu zaiskszą się oczy i twarz cała rozpromieni, słuchając opisu jakiego dzielnego czynu, pełnego energii i wytrwałości, to parobczak wiejski, uśmiechnie się głupkowato, machnie ręką, dodając „Bogać to prawda".

Pomimo tak różnego usposobienia ludu wiejskiego i miejskiego, zaspokojenia ich potrzeb umysłowych łączono z sobą, nie otrzymawszy naturalnie pożądanego rezultatu. Gdy cywilizacya, idąca w parze z dobrobytem, zrównoważy, a przynajmniej zneutralizuje ukształcenie pracowników wiejskich i miejskich, rozróżnienie to stanie się zbytecznem, tymczasem zaś lekceważyć go nie można, jeżli już nie w pismach peryodycznych, to przynajmniej w publikacyach książkowych. Że ta nasza uwaga nie jest przywidzeniem, dosyć przejrzeć wydawnictwa ludowe ukazujące się w Anglii lub Niemczech, w których zawsze przemaga jeden wyraźny kierunek, mający na względzie bądź wieś, bądź miasto.

(d. c. n.)

WYJĄTKI Z ARTYKUŁU

ZAMIESZCZONEGO W PISMIE

Oteczestwiennya Zapiski

p. t.

Zarysy umysłowego rozwoju społeczeństwa.

1825—1860.

(Dalszy ciąg)

„Dla Niemca, mówi on, nauka i sztuka jedna dla drugiej, cel i wzniosłe życie, absolutny byt; dla Francuza, nauka i sztuka, środki do ogólnego rozwoju, do oswobodzenia indywidualnego z oków przesądu, poniżających ludzkość. Oto powód, dla czego literatura francuzka wywiera taki ogromny wpływ na wszystkie ukształcone narody; oto dla czego jej ulotne twory zyskują taki rozgłos: oto dla czego one mając taki byt krótki, są efemerycznemi zjawiskami."

W Anglii upatruje on zgodę tych dwóch ostateczności. W tym samym czasie w recenzji romansu *George Sand'a*, Bernard Maupra (1841 r.) Bieliński daje dowody szczególnego uwielbienia dla tego pisarza, który też w następstwie stał się jego ulubionym autorem jak Goethe i Hofman byli niemi w młodości Bielińskiego.

„To nie p. de Balsac, woła w zachwyceniu Bieliński, ze swoimi książętami, księżniczkami, hrabiami, hrabiankami i markizami, którzy tak podobni do rzeczywistych jak sam Balsac ma podobieństwo do wielkiego pisarza i genialnego człowieka. U Sanda niema miłości ani też nienawiści do uprzywilejowanych ras, ani pogardy dla niższych warstw społecznych. Dla niego nie egzystuje ani arystokracya ani plebs; ale istnieje tylko człowiek i znajdując go we wszystkich słojach społeczeństwa, kocha go, ma dla niego współczucie, dumny jest z niego i płacze z nim razem.

Lecz kobieta i jej stosunek do społeczeństwa, nieoparty na rozumnym prawie, więcej podległej zwyczajom utartym, przesądom i samolubstwie mężczyzny, ta kobieta najwięcej ożywia poetyczną fantazję George Sand'a i wznosi do pathosu jej energiczne upominania się za płcią uciśnioną, jej usiłowania wyświetlenia prawdy w ciemnościach przesądów. George Sand jest adwokatem kobiet, jak Szyller był obrońcą człowieczeństwa. Czyż jest w tem choć jedna kropla rozumnego poglądu, gdy panią *Dudevans* czerń bezwiedna, dzika, barbarzyńska tłuszcza przezywa pisarką niemoralną? Kto ludziom wyjaśnia nowe prawdy, temu ludzie nie dadzą spokoju, lecz za to, kogo wcześnie strącą do mogiły, temu niezawodnie zbudują wspaniały pomnik i rzucą klątwę na świętokradcę, na człowieka któryby poważył się choć jednem słowem ubliżyć pamięci osoby, kiedyś będącej przedmiotem ich zaciętej nienawiści... Wszak i Szyller, za życia, słynął jako pisarz niemoralny."

Jakaż widoczna różnica między ideami i sympatjami Bielińskiego między r. 1839 a 1841. Azaliż to ten sam Bieliński, który uważał dzieła Szyllera, jako płód niedojrzały, mięszaninę stylu i poezji, w kwestji kobiecej upatrywał brednie *sensimonistów* a Sandowi, podobnie jak tłuszcza ślepa, przypisywał niemoralne zasady.

W 1843 r. Bieliński stanowczo przechodzi do obozu heglistów, tak że znikają zupełnie ślady przeszłych wyznań wiary. Posiłkuje się djalektyką Hegla nie dla tego, ażeby nią tłómaczył swoje poglądy lub tym sposobem łączył różnolite sprzeczności w całość sztuczną, ale żeby przepowiadał wieczny, nieustanny postęp.

„Do wykrycia idei, mówi Bieliński w przeglądzie literatury za r. 1842, przychodzimy sztuczną drogą dociekań; skutkiem tego pokazuje się, że idea jest jedną stroną przedmiotu, sztucznie oddzielona od niego przez nas samych, w celu empirycznego, powierzchownego poznania natury owego przedmiotu. I dla tego nie ma idei, któraby nią zawsze pozostała, lecz każda idea uplastycznia się jako fakt, przedmiot lub działanie. Uplastycznienie idei w fakcie ma swoje niezwalczone niczem prawa, z których najgłówniejsze: skutek i stopniowanie. Nic nie zjawia się niespodzianie, nic nie rodzi się z gotowością życia; lecz wszystko to, co ma za punkt rozwoju ideę, rozwija się z każdą chwilą i stopniowo wzrasta w potęgę. To niezłomne prawo widzimy i w przyrodzie, w człowieku i w ludzkości. Przyroda nie pojawiła się w mgnieniu oka, lecz miała swoje dnie, czyli momenty wytwarzania się. Królestwo kopalne poprzedziło królestwo roślin, królestwo roślin—królestwo zwierzęce. Każde źdźbło podlega processom tworzenia, listek, kwiat, ziarno nic są niczem innem jak tylko momentami wzrostu rośliny. Człowiek przechodzi przez momenta dzieciństwa, młodości, dojrzałego wieku i starości; tym znowu odpowiadają momenta moralne, wytwarzające się w głębi jego duszy, w sercu, w charakterze. Tym samym prawom podlegają i społeczeństwa i ludzkość...

W tem przekonaniu, Bieliński jasno pogląda w przyszłość, bez względu na wszelkie okropności obecnej chwili. I dla tego, w artykule o dziełach Baratyńskiego, śmieje się z ludzi, którzy ze względu na nicość i zgniliznę posad przeszłości, ze względu na przedstawiające się im przed oczy: niemoralność, przekupstwo, rozpustę, drżą o przyszły los człowieka i człowieczeństwa... Tu bez wątpienia, gubi ich szatan, mówi Bieliński, otumania. tak że dopatrzeć prawdy nie zdolni, że sądzą jakoby nic wskrzeszone być nie mogło, a nie wiedzą że umiera tylko to co straciło warunki do życia, i że śmierć jest tylko oczyszczeniem miejsca dla następnych. Gdyby zaś, zamiast trwożenia się, zbadali prawdę, ona wskazałaby im ostatnie chwile konającej starożytności, której rozkoszą był widok amfiteatrów zroszonych krwią chrześcijan pożartych przez zwierzęta, która nie pojmowała, że w tem męczeństwie, sama mordowała własne bogi, zadawała im śmierć jako przeżytym ideom... wtenczas

przekonaliby się, że śmierć zestarzałej prawdy, nie jest śmiercią prawdy w ogóle...

Takie prawo postępu, Bieliński stosuje i do sztuki. Jeżeli w świecie fizycznym rozwija się wszystko co powołane do życia, to z kolei i sztuka podlega rozwojowi, a nadto rozwój ten związany jest ściśle z innemi sferami przekonań ludzkich.

„W epoce młodzieńczej narodów, sztuka zawsze mniej więcej, była wyrazem religijnej idei, a w epoce dojrzałości, wyrazem filozoficznych pojęć.”

Prócz tego Bieliński przyjmuje wpływem przyrody, miejscowości, okolicy, klimatu, nakoniec politycznych okoliczności, rozwój i charakter sztuki. Wszystko to tak on streszcza:

„Widocznem jest, że grubo mylą się przemądrzali sędziowie sztuki, którzy chcą widzieć w niej zupełnie odrębny świat, istniejący niezawiśle od innych sfer przekonania i od historji. Gruntując się na tem, że przedmiot sztuki nie jest czasowy, nikły ale przeciwnie wieczny, niezmienny, sądzą, jakoby sztuka poniżała swoje posłannictwo, jeśli ulega wpływom historycznym i czasowym. Lecz to znaczy zapatrywać się na *wieczne* i *niezmienne*, jak na pojęcia oderwane, pozbawione treści, jak na budowy powietrzne, pozbawione warunków życia. *Wieczne* bowiem wyraża się w czasie, *niezmienne* ogranicza się formą, w której się przejawia, *nieskończone*, daje się pojąć w skończonem.

(d. c. n.)

OBRAZY

NA WYSTAWIE TOWARZYSTWA

Zachęty Sztuk Pięknych.

Utwory religijnej treści we wszystkich dziełach sztuki to szczyt ideału, najwyższe wzniesienie ducha ludzkiego w dziedzinie odwiecznych tajemnic, podpatrzenie, podsłuchanie niejako tego co zakryte i milczące dla zwyczajnych śmiertelników, do poety przemówiło i zagadało życiem, pod piórem, pędzlem, dłutem i tonem. Sam talent choćby z genjuszem zbratany już tu nie wystarczy, polot jego natchnienia bez skrzydeł wiary, rzuci go na ziemię jak postrzeloną ptaszynę, silącą się nadaremnie do wzniesienia w powietrzne obszary. Wiek obecny szamotania się rozumu w więzach zmysłowości, to skopuł do nie przebycia dla wszystkich poetów i artystów, podejmujących treść religijną do swojej pracy.

Od pierwszej chwili jego narodzin, poeta nie wyjęczał ani jednej modlitwy coby grzesznika ugięła pokorą; malarz lub snycerz nie dał ani jednego obrazu lub posągu, coby godne były prac podobnych przeszłości, muzyk nie utworzył ani jednego hymnu równego prostocie i wzniosłości pierwszej lepszej pieśni przez lud śpiewanej w świątyniach. W podejmowanych przez nich usiłowaniach, wiele znajdzie zręczności, umiejętności teoretycznej, nawet dowody wielkiego talentu, brak im tylko ducha tworzącego natchnienie.

Nieraz mistrze w odtwarzaniu ziemskich namiętności, stają się partaczami w uzmysłowieniu porywów duszy, w religijnem namaszczeniu.

Szermierzy jednak w dziedzinie tak dla nich nieprzystępnej nigdy nie brakuje, polot też ich ducha pada zawsze pod brzemieniem ciężaru nad jego siły.

Na Wystawie Towarzystwa w pierwszym zaraz przedziale mieszczą się trzy obrazy religijnej treści, dwa p. Szyndlera, jeden p. Millera.

Pierwszego z nich Ś-y Ludwik na modlitwie, jest to bardzo zwyczajna postać i gdyby nie krucyfiks i ręce złożone, niktby się nawet nie domyślił patrząc na twarz samą, że usta jej szepczą modlitwę, że w tej głowie zachwyt religijny wypiera myśli wzniesione do Boga. Brak tu życia, prawdy, brak zupełnego zrozumienia podniosłości modlitwy, która sama już siłą swoją, rysom powinna nadać odpowiedni wyraz, coby każdemu powiedział: oto człowiek co korzy się w modlitwie. Cóż dopiero Święty, którego modlitwa jest wszech władną panią myśli, pragnień i wszystkiego co ziemi przynależy.

Święty Hieronim tegoż samego artysty pana Szyndlera, również jest wadny jak Ś-ty Ludwik. Obnażony do pasa z jednej strony ma czaszkę kościotrupa, z drugiej krzyż z Chrystusem, ku któremu zwraca spojrzenie. To symbole dwóch ostateczności, nicestwa materyalnego i wieczności ducha, dwie potęgi co walczą ze światem, a ugiąć go nie mogą na jedną lub drugą stronę.

Walka odwieczna poruszająca całą ludzkością, wstrząsa także i jednostkami. jeżeli więc dobrze zrozumieliśmy myśl obrazu, przez walkę tę i w pracy artysty powinien przechodzić Ś-ty Hieronim. Pokutnicze jego okrycie od bioder spadające ku ziemi, obnażone ciało, włosy w nieładzie, czaszka, Chrystus, wszystko to zdaje się potwierdzać nasze przypuszczenie. W kim duch korny ten ciała nie dręczy pokutą: dręcząc czuje, że to ma przewagę nad duchem. Twarz więc świętego powinna to uwydatnić, ale inaczej jak u zwyczajnych ludzi, w rozumowaniu szukających ratunku.

Siłą poruszającą ją winna być wiara tryskająca ze wszystkich rysów, błyszcząca w oczach łzami przyćmionych, straszącą rozpaczą w zmarszczkach bruzdzących czoło. Tego wszystkiego twarz świętego nie przedstawia: piękną ona jest i starannie opracowaną, ale raczej do zimnego należąca realisty, jak do pokutnika co przylgnął do krzyża z całą potęgą swojej duszy.

W obu obrazach znać talent, tylko przy Ś-ym Ludwiku okno nie ma przezroczystości, oświetlającego go światła, a ręka prawa u Ś-go Hieronima za ciemna, i rażąc niczem nie usprawiedliwia swej barwy.

Święty Jan Chrzciciel przedstawiony przez p. Millera zdaje się być w natchnieniu proroczem, głoszącem przyjście tego, któremu rzemyka u obuwia rozwiązać nie będzie godzien. Chwila to więc bardzo podniosła, w jednej osobie prorok i sługa jednoczą się, prorok wielki natchnieniem, sługa uznaniem swej niższości. Słuchający mowy jego starzec w turbanie, z wielką ciekawością treść tę domyślną usprawiedliwia.

Głowa jego a raczej twarz wybornie scharakteryzowana: znać w niej podziw niezwykły i pewne jakby poszanowanie słów, które słyszy, ale Ś. Jan to również bardzo zwyczajny człowiek. Mówi jak nauczyciel w katedrze, któremu słowa same płyną choć myśl daleko od przedmiotu odsunięta. Nie ma w niej ani natchnienia proroczego, ani służebności jaką poczuwa dla tego, którego przyjście zapowiada.

I tu także znać talent i wprawną rękę artysty, sztuce zadość się stało, ale nie myśli podjętej do uwydatnienia.

Mimo tego wszystkie te trzy obrazy, zawieszone w świątyniach naszych, wielką ich stanowić mogą ozdobę. W wymaganiach naszych może przesadzamy ale któż nie zgodzi się, że jak w każdym obrazie, gdzie człowiek występuje, tak i w pracach malarzy treści religijnej, czegoś więcej szuka się jak dobrego rysunku, naturalnego kolorytu i układu osób i szczegółów. Artyści nasi malarze dziś zdobywają pierwszeństwo w całym niemal świecie, i w tym więc kierunku mamy prawo żądać od nich zbliżenia się do ideału.

Pan Tytus Maleszewski świeżo przybyły z zagranicy, zawiesił na Wystawie trzy obrazy, a na każdym z nich pomieścił po jednej młodej panience, przedstawiającej: poranek, różę i mak. Że wszystkie są ładne nawet piękne, to nie mogło być inaczej: któryżby malarz chciał myśl swoją, brzydką twarzą symbolizować!

Twarze więc są piękne, wdzięk je zdobi, młodość krasi, ale w poranku i w maku za figlarne, za nadto pragnące podziwu, za nadto szukające ócz ludzkich aby na nie patrzyły. Róża wolna od tego zarzutu, jeżeli uwaga nasza na to miano rzeczywiście zasługuje. Przedstawia ją dziewica w balowem ubraniu, z różą przy piersi, z rączką przy policzku, czytającą książkę z wielkiem zajęciem. Poranek to dziewica świeżo powstała z łoża, nie mająca nawet jeszcze czasu włożyć pantofelki na obie nogi. Jednym z nich bawi się kotek, dziewica drażni go nogą i osłaniając się pod szyję fałdem jedynej osłony, uśmiecha się naiwnie patrząc na figlarza. Scena odbywa się w sypialni bogato umeblowanej, dzieweczka w całej postawie uwydatniona.

W maku tak jak i w róży, dziewice jakby portrety do połowy są tylko pomieszczone. W róży panienka duma nad książką w całym przepychu balowego stroju: w maku spogląda z uśmiechem na motyla co natrętnie usiadł na ramieniu i ani pomyśli porzucić obranego stanowiska. W krótkich rękawach, w koszulce zaledwie kibić jej osłaniającej, w barwistym staniku, zdaje się jakby wracała z dorywczej wycieczki do ogrodu zaraz po przebudzeniu, aby zerwać gałązkę świeżo rozkwitłego maku i wpiąć ją we włosy na prędce ułożone. W patrzeniu jej na motyla, w jej uśmiechu złośliwym znać wyraźnie, że panienkę nie zajmuje jego natręctwo, ani barwa, ale skrzydełka puszkiem delikatnym osypane, ale motyl do innej zupełnie należący kategoryi, co umie westchnąć, spojrzeć czule, ścisnąć rączkę i szepnąć...... kocham cię jedyna!

Poranek najmniej ma powabu, a raczej za wiele silenia się na wywołanie wrażenia: mak może troszkę za wiele kokieteryi, róża jeżeli już gwałtem wyszukiwać zarzutu, także może za wiele powagi. Wszystkie jednak trzy obrazy podobać się mogą bardzo, bo rzeczywiście nęcą postaciami, które przedstawiają. Któż bowiem nie lubi przyjrzeć się pięknej, młodej dziewicy, choćby malowanej!.....

Pana I. Jaroszyńskiego widok z okolicy Oświecima starannie oddany i w szczegółach i w perspektywie, we wszystkich widokach niezmiernie ważne zajmujących miejsce. Mówić o nim niewiele można, bo gdzie ludzi nie ma tam trawa, moczar, liść, drzewo, sploty lesistej knieі i przestrzeń daleko ciągnąca się, nie zagwarzą życiem pod piórem zwyczajnego sprawozdawcy. Są tam tylko dwie łanie i jeleń; zdający się badać okolice czy nie zwęszy w niej ukrytej gdzie zasadzki. Na przeciw niego, z pośród zarośli wydobywa się słup dymu, świadczący o obecności człowieka. Gra światła i rozlicznej barwy drzew na obrazie pomieszczonych, dowodzą starannego wpatrzenia się w naturę, która tu bardzo wiernie przedstawioną została. Zdaje nam się tylko, że wzniesienie na którem jelenie stoją i leżą, za mało uwydatnione, gdyż widok obszerny i daleki jaki się w głębi obrazu rozwija, nie odpowiada stanowisku przez zwierzęta zajmowanemu.

Przyjaciela dzieci N. 5. wyszedł z druku.

Cena w Warszawie kwartalnie kop. 75. Na prowincyi w Cesarstwie z opłatą pocztową rs. 1.

Adres przesyłając na prenumeratę: Do J. K. Gregorowicza ulica Żabia N. 956.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Opis do N. 4.

(Dalszy ciąg opisu N. 11.)

Stanik z baskiną i marynarskim kołnierzem objęty jest wypustką jedwabną. Mankiet rękawa ułożony jest z trzech patek od dołu rozszerzonych, zaokrąglonych, i guzikami przepiętych, z których środkowa z materyi, inne wełniane, wypustką jedwabną objęte; wszystkie sztywnym muślinem podszyte. Kapelusz aksamitny z rondkiem podpiętem różami, ubrany aksamitną wstążką i długim, koronkowym welonem, przypiętym z tyłu klamrą.

N. 12. Ubranie spacerowe z paltocikiem.
Kapelusz filcowy.

Spódnica kostiumu popielatego garnirowana jest od dołu wązkiemi falbankami. Paletocik dłuższy z przodu, dopełniony kamizelką; z tyłu zakończony znacznie krótszą baskiną podpiętą kokardami, i ubraną wielkiemi stalowemi guzikami. Rękawy przybrane podwójnym mankietem. Miękki filcowy kapelusz, ubrany wstążką i strusiemi piórami.

N. 13. Ubranie spacerowe z vêtement i z kapeluszem do tyłu głowy zsuniętym.

Długie vêtement z materyi angora, z wypustkami z aksamitu lub rypsu, przybrane takiemiż kokardami, szarfami i guzikami. Z głowy zesunięty aksamitny kapelusz, ubrany wstążką lub rypsem odpowiedniego sukni koloru i bardzo długiem strusiem piórem.

N. 14. Długi paltot czarny jedwabny, obłożony futrem.

Kapelusz aksamitny z djademowem rondkiem, ubrany piórami, wstążką i długim w tył odrzuconym woalem.

N. 15. Suknia i dolman okładany futrem.

Strojne spacerowe i zarazem wizytowe ubranie, składa się z czarnej sukni z ciężkiego jedwabnego rypsu, ze stanikiem pod szyję i wązkiemi rękawami. Spódnica sukni ubrana jest dwoma wolantami z nagłówkiem, i obłożona futrem. Z boków, falbany podniesione są trochę w górę, i podpięte aksamitnemi kokardami. Czarny aksamitny dolman, szeroko futrem obłożony, podszyty jest ciepłą flanelą, przykrytą fularową podszewką. Kapelusz aksamitny do wiązania, przystrojony skrzydełkami, kwiatami i wstążkami aksamitnemi. Takie ubranie może być także z ciemno brązowego aksamitu i rypsu, z obłożeniem z szenszyli.

N. 16. Ubranie spacerowe.

Krótki kaftanik z jasnej welutyny, z wypustkami i wyłogami z aksamitu ciemniejszego odcieniu; z przodu ubranie szmuklerskie z ciemniejszego jedwabnego sznura. Guziki duże, oksydowane. Miękki filcowy kapelusz tego co kaftanik koloru, z gałązką kwiatów z boku przypiętą i długim welonikiem, dobranym do koloru kapelusza.

N. 17. Suknia gładka z szarfą.

Gładka, z długim trenem spódnica, jest z jaśniejszej materyi jedwabnej lub wełnianej; tunika z przodu na jeden, lub dwa rzędy guzików zapinana, z boków od góry podpięta, od dołu nie zeszywana, powinna być znacznie ciemniejsza od sukni. Wązkie rękawy są z tego co spódnica materjału, a mankiety, takie jak tunika. Jasna szarfa z szeroko wysiepaną frendzlą ma 25 centy. szerokości, a 180 długości. U dołu i z boków, tunika podszyta jest pliską jasną, która na 3/4 cent. zachodzi na wierzch, a od góry jest przestębnowana.

Wysoki, trochę od szyi odstający kołnierz, z przodu na sposób szalowy aż do pasa dochodzący, zapięty kokardą, składa się z dwóch skośnych kawałków materyi, pomiędzy które dodaje się sztywne płótno. Kołnierz ten jaśniejszy od spodu, ma w środku 5 i pół, a z brzegów 10 cent. szerokości. Duże guziki metalowe albo z perłowej konchy, służą do zapięcia tuniki z przodu.

N. 18. Suknia z tuniką i kaftanikowym stanikiem.

Suknia z cienkiego wełnianego wyrobu, w kolorze rezedowym zielonawo popielatym albo granatowym; kołnierz, klapy i mankiety z materyi jedwabnej takiego samego koloru, przyozdobione są haftem. Okrągły, z czoła zesunięty kapelusz filcowy, z rondkiem aksamitnem, w górę podniesionem, ubrany jest rypsem, aksamitem, cieniowanem strusiem piórem i ptaszkiem.

N. 19. Suknia z garnirunkiem z przodu i stanikiem zapinanym na dwa rzędy guzików.

Przy fijołkowej wełnianej sukni, kołnierz, mankiety i wyłogi z przodu tuniki, mogą być z aksamitu, rypsu jedwabnego, albo z materyi wełnianej, ciemniejszego koloru. Tak stanik jak i wyłogi oszyte są wypustką ze sznureczkiem. Prawdziwe dziurki objęte są materyją, a drugi rząd fałszywych naszyty rulonikiem. Z przodu tunika złączona dwiema kokardami.

N. 20. Strojne salonowe ubranie.

Suknia z ciężkiej czarnej materyi, oszyta jest dwoma wolantami aksamitnemi; kokardy, ubranie rękawów i podszycie szarf są także aksamitne. Pasmanterja dżetowa, lub koronka naszyta dżetem, zdobi tunikę, stanik, i naszyta jest na aksamitnej falbanie. Kwasty i agrafy z dżetu, dopełniają przystrojenia. Wykrój stanika i rękawy, ogarnirowane plisowaniem z białej krepledy.

N. 21. Suknia z kaftaniczkowym stanikiem.

Staniczek z kaftaniczkowemi przodami, tylko na jeden guzik lub kokardę zapiętemi, pod który dodaje się kamizeleczkę z bawetem, zarówno służyć może do sukni z tuniką, jak i do garnirowanej spódnicy. Na modelu, do sukni z lustrownej, srebrno popielatej, wełnianej tkaniny kamizelka, kołnierz, wypustki i mankiety, były z blado niebieskiej matowej materyi; kokardy z przodu i przy baskinie z pięknej wstążki, tegoż koloru. Szmizetka i kołnierzyk z webowego płótna. Czarny aksamitny kapelusz z wysoką główką, i rondkiem objętem niebieską materyją, ubrany jest czarnym, gazowym, długim woalikiem, i niebieską z boku przypiętą kokardą.

N. 22. Suknia z vêtement.

Kapelusz okrągły, z rondem z boków podniesionem.

Suknia z niebieskawo zielonej popeliny, garnirowana jest dwoma skośnemi, marszczonemi wolantami, 14 i 32 cent. szerokiemi, których szerszy oszyty jest w górze i u dołu 5 cent. szerokiemi, skośnemi plisami, z ciemniejszego aksamitu. W ząbki wycięta, plisowana falbanka 15 cent. szeroka, rozdziela dwa wolanty; taką 9 cent. szeroka. stanowi nadgłówek nad falbanami.

Wypustką oszyta, aksamitna plisa przy vêtement, ma 5 cent. szerokości, a z tyłu przy baskinie stanika, 4 centymetry. Rękaw mający u dołu 52 cent. szerokości zakończony jest skośnym, 6 cent. szerokim wolantem, i przystrojony aksamitnemi plisami, oraz plisowaniem 3 centy. szerokiem. Kapelusz aksamitny z miękką główką i rondem w górę podniesionem z boków, przystrojony jest kwiatami i strusiemi piórami.



N. 1. Ubranie na zebranie wieczorowe. N. 2. Ubranie wizytowe.

N. 23. Spacerowe ubranie z krótkim paltocikiem.

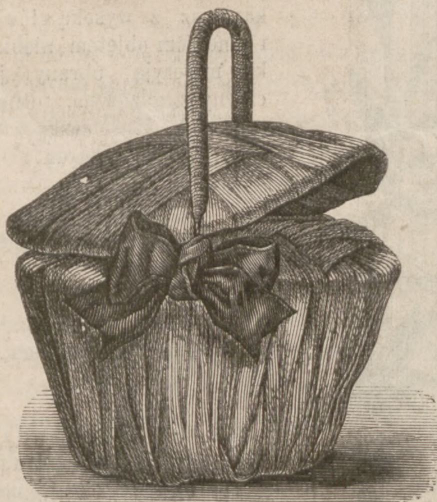
Z boku zapinany paltocik ze stojącym kołnierzem, przepasany jest paskiem i ozdobiony szarfą. Kapelusz filcowy z podwiniętem rondem, ubrany jest wstążką i piórami.

N. 24. Płaszczyk z pelerynką.

Płaszczyk z cienkiego sukna ciemno granatowego, obłożony futrem i oszyty frendzlą futrzaną. Kapelusz aksamitny do wiązania, ubrany atłasem, aksamitem i piórami.

N. 25. Próbka roboty na drutach, na chustki, kapturki i t. p.

Z cienkiej włóczki (Mooswolle) robi się gładko, zawsze tam i napowrót, co ósme obrobienie przybierając drugą nitkę odmiennego koloru.



N. 13. Czarodziejski kłębek.

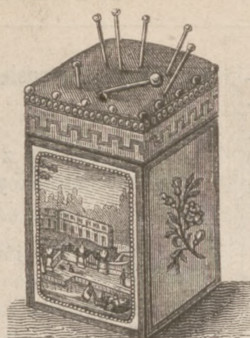
Frendzla z sześciu nitek przyrabia się osobno; siódmą, odmienną nitkę, mięszaną do frendzli, stanowią końce od nitki co ósme obrobienie przybieranej.

N. 26—27. Pantofel z haftem perskim.

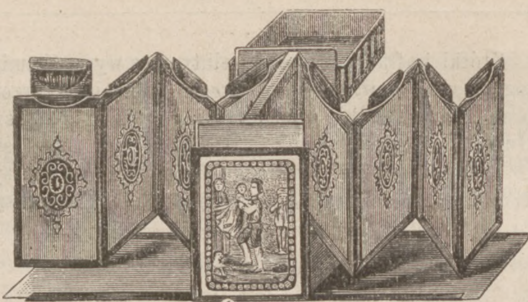
W środku futrem wysłany pantofel, przybrany jest oszyciem i rozetą z czarnych piórek. Na tle czarnem sukiennem, naszyte są w sposób na ryc. 27 wskazany, kwiatki, pączki i listki, z różno kolorowego sukna, przyrabiane ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem odmiennego koloru, albo obrze odznaczającego się odcieniu. Na modelu kwiatki, i pączki pąsowe, obrobione są jedwabiem zielonym, a żyłki są białe. Zielone sukienne liście obrabia się jasno zielonym jedwabiem; korzonki i drobne listki są złotawo orzechowego koloru.



N. 6. Tutka ze złoconego papieru. Do ryc. 14.



N. 3. Pudełeczko do igieł. Zamknięte. Patrz ryc. 4.



N. 4. Pudełeczko do igieł otwarte. Patrz ryc. 3.



N. 5. Kieszonkowa poduszeczka do śpilek.



N. 7. Tutka z żelatynowego papieru.

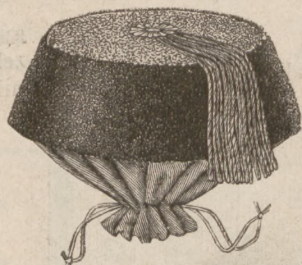


N. 15. Koszyczek z pręcików trzcinowych.



N. 12. Poduszeczka w kształcie serca, do igieł i śpilek. Patrz ryc. 11.

N. 8. Koszyczek z żelatyny.



N. 9. Czapeczka jako woreczek.



N. 10. Dzwonek robotą szydełkową, jako przyrząd do wycierania piór.

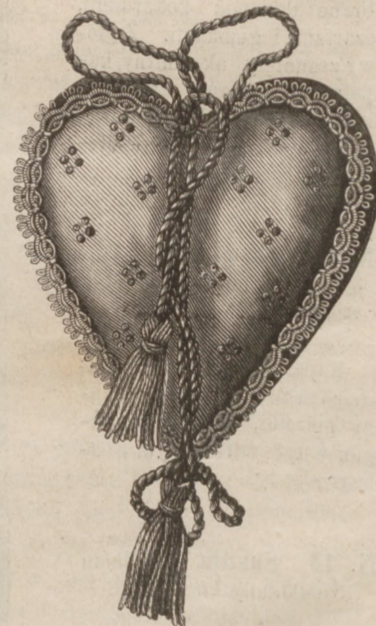
N. 28—29. Pugilares na listy, przyozdobiony sylwetkami.

Materjał: Szare płótno, szara kręcona szydełkowa bawełna, wstążeczka 1 centy., tasiemka wełniana 2 cent. i elastyka $^3/_4$ cent. szeroka, w kolorze brązowym, takiż jedwab, sylwetki czarne wycinane, bibuła, tektura i ołówek 11 centy. długi.

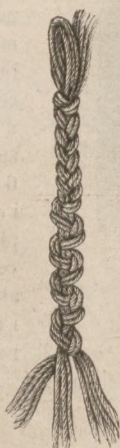
Ryc. 29 przedstawia wewnętrzne urządzenie pugilaresu, który z łatwością własnorecznie odrobić można. Kieszonki w obydwóch końcach urządzone, służą dochowania biletów, otwartych listów, awizacyi, kopert i marek pocztowych. Środkowa, na klapę zapinana kieszeń 12 centy. szeroka a 15 długa, służy zarazem za podkładkę do pisania i za schowanie na papier listowy. W tym celu przyczepia się pod klapą 8 ćwiartek bibuły 10 i pół centy. długich, pomiędzy które włożyć można papier listowy. Ołówek służy zarazem do zapinania klapy i do pisania krótkich, pośpiesznych bilecików, albo listów otwartych.



N. 14. Choinka z piórek.



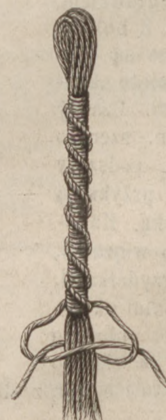
N. 11. Poduszeczka w kształcie serca. Patrz ryc. 12.



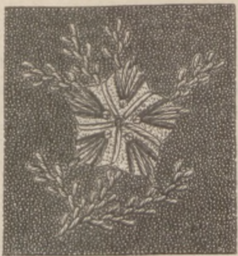
N. 17. Sznureczek do binokli, zegarka lub t. p. upleciony w trzy promienie z dziewięciu nitek.



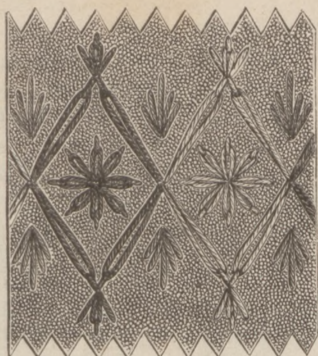
N. 16. Dywanik z kwadratów robionych na drutach.



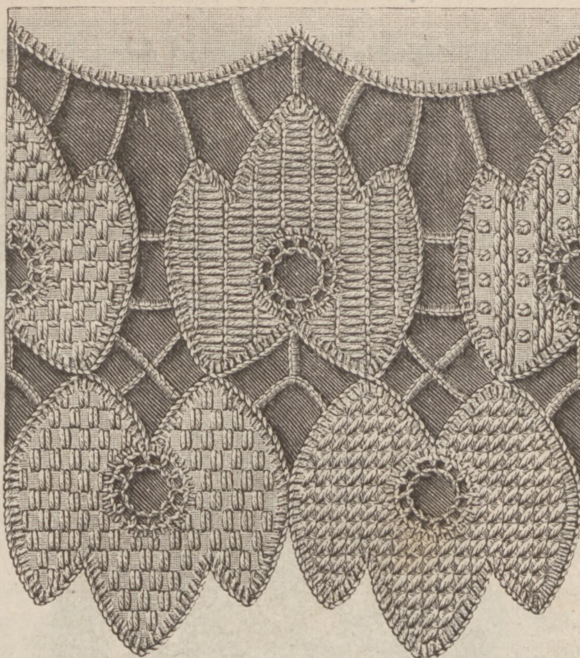
N. 18. Sznureczek do binokli, zegarka lub t. p. Z ośmiu nitek przewiązywanych dwoma nitkami.



N. 22. Haftowany kwiatek jako rzucik do przyozdobienia koszyka ryc. 21.



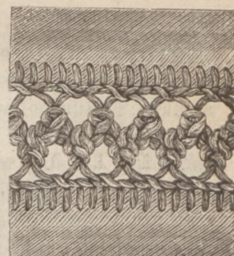
N. 23. Szlaczek wyszywany do przyozdobienia koszyków ryc. 21.



N. 20. Haft wenecki do wałka ryc. 19.

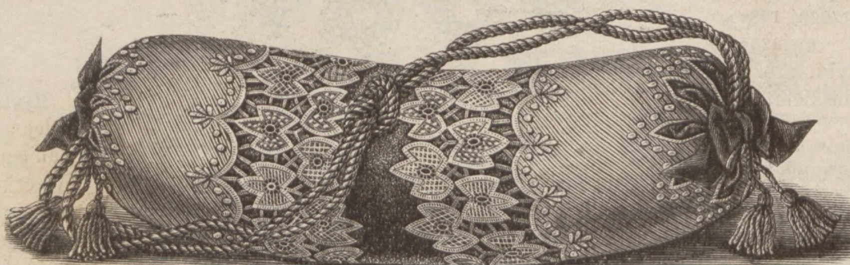


N. 25. Szlak haftowany do koszyczka ryc. 15.



N. 29. Wszywka robotą na widełkach przydziergiwana z brzegów do ryc. 28.

Na zwierzchnią stronę pugilaresu kraje się kawałek szarego płótna 17 centy. wysoki a 34 cent. długi, podszewkę przedłuża się z brzegów po 8 centy. na kieszonki do kopert, które w sposób na ryc. 29 wskazany objęte są tasiemką. Trzy zwierzchnie kieszonki przyszyte do poprzedzających ściegiem sznureczkowym, ozdobione wyszyciem gałązek cierniowych, i w górze objęte wstązeczką, dodają się z oddzielnego 6 centy. szerokiego kawałka płótna. Na środku pugilaresu, w miejscu przeznaczonem na kieszeń większą, daje się dla sztywności kawałek tektury, 12 cent. szeroki, przyczepiony pomiędzy wierzch i podszewkę. Brzegi w koło, objęte są stębnowaną tasiemką. Do chowania marek służą maleńkie kopertki, wykrojone z cienkiej, brązowej tektury, z brzegów wstążeczką oklejone, które wraz z markami wsuwają się w kieszonki. Na wewnętrznej klapie wyhaftowany jest monogram; z wierzchu, 3 centy. od brzegów, naszyte są ściegiem podwójnym sznureczkowym, brązowe wełniane taśmy 2 cent. szerokie, środek zaś zdobią sylwetki z materyi lub aksamitu. Desenie rysowane na bibułce angielskiej kupić można gotowe. Materją lub aksamit nakleja się na nich i wycina starannie podług konturów rysunku, następnie jedwabiem, nieznacznie przyczepia do płótna. Do zamykania pugilaresu służy elastyka przyszyta od spodu.



N. 19. Wałek pod głowę. Patrz haft ryc. 20.

N. 30—31. Paltocik dziecinny z odznaczonym kołnierzem.

Robota szydełkowa. Krój jak do ryc. 2 i 3 w N. 49 Tygodnika z roku zeszłego.

Paletocik odrobiony jest z włóczki białej angielskiej, podług formy i wielkości do ryc. 2 i 3 w N. 49. Przy opisie szlaku do ryc. 32, wskazany jest sposób odrabiania wypukłych muszek rzucika. Kołnierz i mankiety pół otwartych rękawów, odznaczone są frendzlą wiązaną, której próbkę podaje ryc. 31, i przyozdobione kokardami z białej lub kolorowej wstążki.

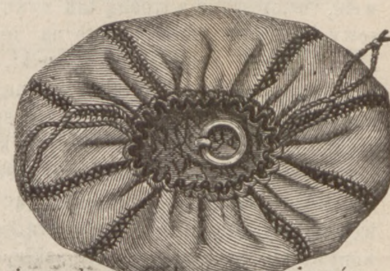
Wykrój szyi obrobiony szydełkiem ściegiem łańcuszkowym, słup. przedzielanemi, o. pow. i zakończonemi pikotami; pomiędzy słupki przewłóczy się wstążkę lub sznur zakończony kwastami, służący do wiązania. U dołu paltocik oszyty także frendzlą.



N. 26. Brosza. Robota nakrapiana na złocie. Patrz ryc. 27.



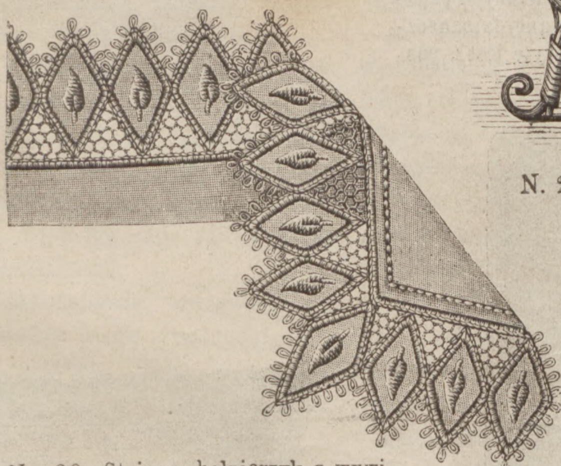
N. 21. Kosz do robót lub negliżyków. Patrz ryc. 22—23.



N. 28. Pokrycie na kamień do ogrzewania nóg.

N. 32—33. Paltocik z pelerynką. Robota szydełkowa.

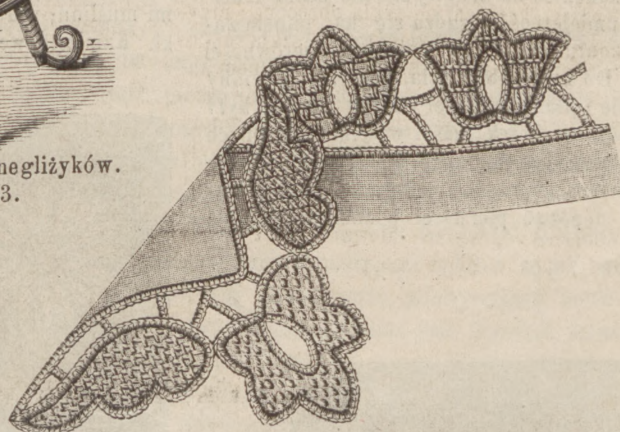
Paltocik z białej włóczki robiony jest ściegiem tunetańskim, sposobem opisanym przy ryc. 2 i 3, w N. 49 Tygodnika z roku



N. 30. Stojący kołnierzyk z wywiniętym rogiem.



N. 27. Zapinka do mankietów. Robota nakrapiana na złocie.



N. 31. Stojący kołnierzyk z wywiniętym rogiem. Haft wenecki.



N. 24. Szlak wyszywany, do przyozdobienia koszyka, jako zakończenie portjer lub też na wałek pod głowę.

ubiegłego. Peleryna rozcięta z tyłu składa się z dwóch części, które po wykończeniu łączą się z tyłu za zęby szlaku. Każdą połowę zaczyna się od dołu na ocz. 124 i obrabia raz tam i napowrót; dla otrzymania potrzebnej formy kolistej, w następnych 7-miu rzędach przerabia się tylko część oczek, których liczbę przybiera się i stopniuje podług formy wykrojonej z papieru. Zaszycie na ramionach, zastąpione jest stopniowem gubieniem, także ściśle do formy zastosowanem.

Biały z niebieskim rzutem szlak w zęby, podany w naturalnej wielkości na próbce ryc. 33, robi się tam i napowrót, sposobem następującym: * 1 o. ści., 1 pętelkę przeciągnąć przez obie nitki następującego o., 4 o. pow. na muszkę, dalej przerobić razem obiedwie pętelki, znajdujące się na szydełku i powtarzać od gwiazdki *.

Pomiędzy dwoma górnemi rzędami muszek niebieskich przerobiony jest 1 rząd muszek białych. Następnie zęby szlaku robią się oddzielnie, dając na każdy ząb, najpierw muszek 5, dalej 4, 3, 2 i 1. Chcąc robić ząb następny bez urywania nitki, przerabia się z lewej strony na wierzchu oczka łańcuszkowe, i daje 1 o. ści. w następujące o. szlak prostego. Na zakończenie obrabia się zęby pikotami, włóczką białą.

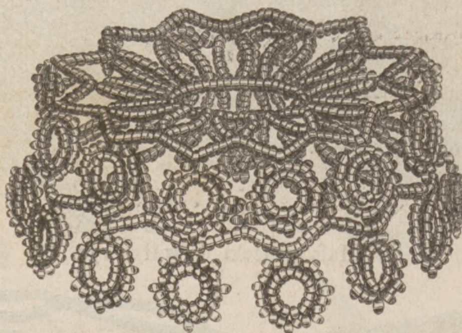
Pelerynkę przyrabia się do wykroju szyi u paltocika o. ści., i dodaje kołnierzyk stojący, złożony z trzech rzędów muszek, z których środkowy biały. Do zawiązania i przyozdobienia pelerynki z tyłu, służą sznury szydełkowe, z kwastami białemi z niebieskiem.

N. 34—35. Stoliczek z szachownicą. Malowanie na szkle.

Materjał: Okrągła tafla najczystszego, grubego lagrowego szkła, mająca 34 centy. średnicy, takiej samej wielkości cienka deseczka albo gruba i sztywna tektura, z dodaną z brzegu galeryjką 1 centy. wysoką. Oprócz tego palona kość słoniowa, błękit pruski i kremiserweis, rozmięszane z trochą tak zwanym Dammerlak, pąsowy i zielony lakier, złoto na muszelkach i pokost. Dobre, grube spłaszczone pędzelki, ostry scyzoryk.

Chcemy zapoznać czytelniczki nasze, z nowym rodzajem malowania bardzo łatwego i pospiesznego, które do piękności łączy trwałość. Małym kosztem przyozdabiać można w ten sposób, stoliki mniejsze i większe, przyciski, teki, szkatulki i t. p. naśladując inkrustacją z perłowej konchy, lub mozajkę kolorową. Malowanie takie wykonywa się na lewej stronie szkła. Okrągły blat stoliczka z szachownicą, miał pola białe i niebieskawo mieniące arabeski, naśladujące inkrustacją z konchy perłowej, na tle czarnem. Szachownica równo podzielona, zajmowała 27 centy. w kwadrat, i była otoczona złotą obwódką, arabeski zaś, w naturalnej wielkości przedstawione na ryc. 35, umieszczone były po dwie z każdego brzegu. Tak kwadraty szachownicy jak i arabeski, powinny być jak najstaranniej na papierze sztywnym narysowane, następnie rysunkiem do szkła obrócone i przyklejone gumą, a nakoniec na drugiej stronie szkła malowane. Tu cała umiejętność zasadza się na pilnem zachowaniu linii i konturów, i na unikaniu nierówności i niedokładności. Do kwadratów i tła, pędzelki powinny być grube, miękkie i płaskawe, ażeby farby równo były rozprowadzone, do arabesek zaś i wszelkich drobnych deseni, używa się pędzelka cienkiego, śpiczasto zakończonego. Nigdy niemożna poprawiać malowania, ani pociągać drugą farbą, dopókąd pierwsze podmalowanie nie przeschnie.

Białe i niebieskie pola szachownicy maluje się farbą kremiserweis i berlinerblau, następnie brzegi pól prostuje się przy linii, a gdzie farba zaszła nierówno jedna na drugą, usuwa ją się starannie scyzorykiem, następnie brzegi obwodzi równą linijką złotą. Czarne tło arabesek malowane jest farbą z kości słoniowej, z dodatkiem pokostu. Arabeski muszą być najstaranniej opracowane, pociąga się raz tylko białą, tak rzadko rozprowadzoną farbą, ażeby szkłu nadać kolor przejrzysto mleczny, przyczem mało farby nabiera się na pędzelek. Żyłki czarne robione są bardzo cienkim i twardym pędzelkiem farbą czarną. Pod takie malowidło podkłada się papier cynowy, do deseczki drewnianej lub tektury przyklejony,



N. 32. Profitka z perełek.

na którym farbą pąsową, zieloną i niebieską, namalowane są gęsto, kreseczki i drobne zygzaki. Taki papier przegląda przez tło arabesek, i nadaje im zupełne podobieństwo do konchy perłowej. Brzegi deszczułki z naklejonym papierem cynowym i brzegi tafli szklannej okleja się razem papierem i oddaje stolarzowi do wykończenia stolika.

N. 36. Narożnik do pugilaresu lub t. p. haft kolorowy.

Opis do N. 5.

N. 1. Lekka suknia na wieczorek.

Muślinowa suknia, przybrana trzema plisowanemi wolantami, włożona jest na gładką suknię różową. Tunika suto podpięta z tyłu, zakończona jest szerokim, plisowanym wolantem, przedni bryt składa się z kilku, rzędów wszytych wstawek tiulowych, rozdzielanych pasami muślinu; u dołu dane dwa rzędy plisowanej falbaneczki. Kamizelkowe przybranie stanika, odszyte jest z pasków muślinu i wstawek, danych naprzemian, zakończone wstawką i plisowaniem. Rękawy wązkie do łokcia rozszerzone są u dołu falbaną, z wązkiem plisowaniem za nagłówek. Przybranie na staniku i przepaska na głowie są ze wstążki koloru spodniej sukni.

N. 2. Ubranie wizytowe.

Suknia czarna z jedwabnego rypsu, kaftaniczek aksamitny z baskiną. Spódnicę z tyłu pokrywają wązkie falbanki; przód przybrany jest trzema szerszemi, boki zajmuje szerokie plisowanie. Kaftaniczek aksamitny, ma jedwabną podszewkę, a brzegi objęte rypsem jedwabnym. Przybranie rękawów składa się z aksamitnego i rypsowego wolantu, przytwierdzonego plisą. Kreza na szyję i szarfa boczna, przepięta klamrą, są z aksamitu, podszytego materją jedwabną, wywiniętą z brzegów na wierzch jako objęcie.

N. 3—13. Różne przybory do zawieszenia na drzewku.

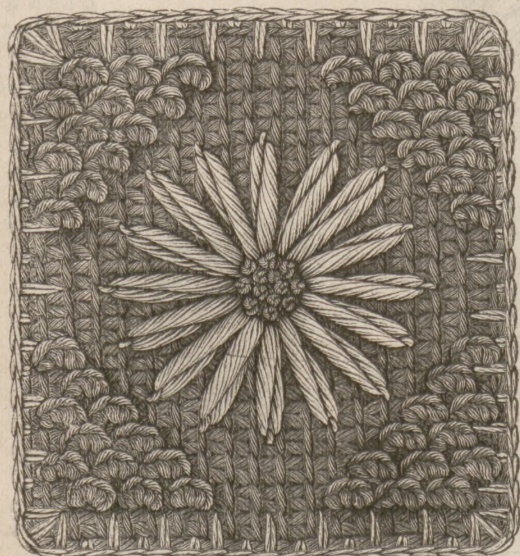
N. 3—4. Przyrząd do chowania igieł.

Rycina 3 przedstawia pudełeczko do igieł zamknięte, uklejone z tektury, z bokami ozdobionemi łatwem malowaniem, robotą nakrapianą lub naklejonemi obrazkami. Wieczko ozdobione jest poduszeczką do śpilek. Wewnętrzne urządzenie, z ruchomemi ściankami objaśnia ryc. 4, podająca pudełeczko otwarte. Czytelniczki mające zręczność do takich robótek, mogą w miejsce klejenia pudełeczka z tektury, odrobić je z kanwy papierowej, zszywając ściany kolorowym jedwabiem, wierzch ozdabiając haftem, a jako kolorową podszewkę, poddać papier lub materję. Pudełeczko takie ma 6 cent. wysokości i 3 cent. w kwadrat mającą podstawę. Skoro podniesiemy wieczko natychmiast odchylają się boczne ściany, złączone tylko z podstawą. Frontowa i tylna ścianka, trzymają się za pomocą środkowej, łączącej je ściany, z grubej tektury; do niej przytwierdzone są również ściany, z papieru złoconego z kieszonkami do papierków z igłami. Ścianki te dają się wysuwać i składać i zawierają 8 papierków z igłami, wkładanemi podług Numerów, naklejonych z wierzchu ścianek, w maleńkich ozdobnych medaljonach.

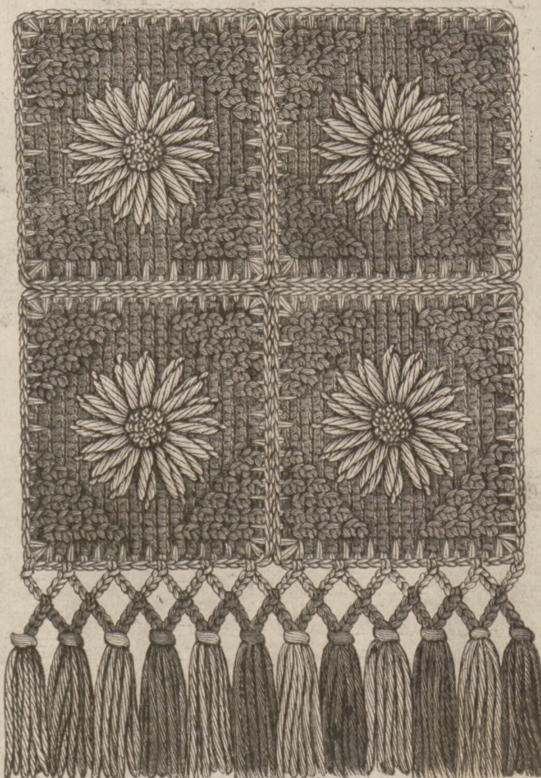
N. 5. Poduszeczka kieszonkowa do śpilek.

Dwa 4 i pół cent. wysokie owale ze sztywnej tektury, pokryte są pąsowym atłasem i złączone za pomocą paska cienkiej tektury, obszytego ciemniejszym aksamitem. Poduszeczka napełniona jest żelaznemi opinkami, a w pas aksamitny wpinają się śpilki.

(d. c. n.)



N. 34. Szydełkowy kwadrat z gwiazdą wyszywaną. Patrz ryc. 33.



N. 33. Kołdra z kwadratów szydełkowych. Patrz ry. 34.



N. 35. Poduszka do kanapy powleczona muślinem.